



HENRYK SIENKIEWICZ

Bartek zwycięzca


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

HENRYK SIENKIEWICZ

Bartek zwycięzca

I

Bohater mój nazywał się Bartek Słowik, ale ponieważ miał zwyczaj wytrzeszczać oczy, gdy do niego mówiono, przeto sąsiedzi nazywali go: Bartek Wylupiasty. Ze słowikiem istotnie mało miał wspólnego, natomiast jego przymioty umysłowe i prawdziwie homeryczna naiwność zjednały mu także przydomek: Głupi Bartek. To ostatnie było najpopularniejsze i zapewne samo jedno tylko przejdzie do historii, chociaż Bartek nosił jeszcze czwarte, urzędowe. Ponieważ wyrazy: człowiek i słowik, nie przedstawiają dla ucha niemieckiego żadnej różnicy, a Niemcy lubią w imię cywilizacji przekładać barbarzyńskie słowiańskie nazwy na bardziej kulturowy¹ język, przeto w swoim czasie przy spisach wojskowych miała miejsce następująca rozmowa:

— Jak się nazywasz? — pytał Bartka oficer.

— Słowik.

— Szloik?... Ach! *ja. Gut.*²

I oficer napisał: „Mensch”.

Bartek pochodził ze wsi Pogńębina, której to nazwy wsi jest bardzo wiele w Księstwie Poznańskim i innych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Był on, nie licząc gruntu, chałupy i paru krów, właścicielem srokatego konia i żony Magdy. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności mógł sobie żyć spokojnie i zgodnie z mądrością zawartą w wierszu:

„Koń srokacz — żona Magda
Co ma Bóg dać — to i tak da.”

Jakoż życie jego układało się zupełnie, jak Bóg dał, i dopiero gdy Bóg dał wojnę, Bartek zafrasował się nie pomału³. Przyszło zawiadomienie, że trzeba się było stawić, trzeba było porzucić chałupę, grunt i zdać wszystko na babską opiekę. Ludzie w Pogńębinie byli w ogóle dosyć biedni. Bartek zimą, bywało, chodził do fabryki i tym sobie w gospodarstwie pomagał — teraz zaś co? Kto wie, kiedy się wojna z Francuzem skończy? Magda, gdy przeczytała kartkę powołującą, poczęła kląć:

— Ażeby ich nawidziło! Żeby olśnęli... Chociażes głupi... jednak mi cię żal; Francuzy też ci nie przepuszczą: albo głowę utną, albo co!...

Czuł Bartek, że kobieta sprawiedliwie mówi. Francuzów bał się jak ognia, a przy tym i jemu było żal. Co jemu Francuzi zrobili? Po co on tam pójdzie i dlaczego na tę straszną obczyznę, gdzie nie ma jednej duszy życzliwej? Jak się w Pogńębinie siedzi, to zdaje się, ot ni tak, ni owak, jak zwyczajnie w Pogńębinie; a jak każą iść, dopiero się widzi, że wszelako tu lepiej niż gdzie indziej. Ale już nic nie pomoże — taka dola! Trzeba iść. Bartek uściskał babę, potem dziesięcioletniego Franka, potem splunął, przeżegnał się i wyszedł z chałupy, a Magda za nim. Nie żegnali się zbyt czule. Ona i chłopak szlochali, on powtarzał: „No, cicho no!” — i tak znaleźli się na drodze. Tu dopiero ujrzeli, że w całym Pogńębinie działo się to samo co u nich. Cała wieś wyległa: droga zapchana powołanymi. Idą oni do stacji kolejowej, a baby, dzieci, starcy i psy odprowadzają ich. Powołanym ciężko na sercu, kilku tylko młodszym fajki wiszą z gęby; kilku już pijanych na początek; kilku śpiewa ochryplymi głosami:

¹kulturowy — dziś popr. kulturalny; może to być rodzaj żartu językowego autora. [przypis edytorski]

²ja. Gut. (niem.) — tak. Dobrze. [przypis edytorski]

³nie pomału — nie mało. [przypis edytorski]

„Skrzyneckiego ręce i złote pierścienie
Już nie będą wymachiwać siabłą na wojencę”.

Jeden też i drugi Niemiec z pogłębińskich kolonistów śpiewa ze strachu *Wacht am Rhein*. Cały ów tłum pstry i różnobarwny, wśród którego połyskują bagnety żandarmskie, posuwa się opłotkami ku końcowi wsi z krzykiem, gwarem i rwetesem. Baby trzymają swoich „żołnierzyków” za kark i lamentują; jakaś staruszka pokazuje żółty ząb i wygraża pięścią gdzieś w przestrzeń. Inna klnie: „Niech wam Pan Bóg policzy nasze płkanie!”; słychać wołania: „Franku! Kaško! Józek! bądźta zdrowi”. Psy szczekają. Dzwon na kościele dzwoni. Proboszcz sam odmawia modlitwy za konających, boć przecie niejeden z tych, co teraz idą na stację, nie wróci. Wojna ich bierze wszystkich, ale wojna ich nie odda. Pługi pordeziewią na polach, bo Pogńębin wypowiedział wojnę Francji. Pogńębin nie mógł zgodzić się na przewagę Napoleona III i wziął do serca sprawę o tron hiszpański. Odgłos dzwonu przeprowadza tłumy, które już wyszły z opłotków. Mijają figurę: czapki i pikielhauby lecą z głów. Kurz złoty wstaje na drodze, bo dzień jest suchy i pogodny. Po dwóch stronach drogi zboże dojrzewające szeleści ciężkim kłosem i gnije się pod wietrzykiem, który od czasu do czasu dmucha łagodnie. W niebie błękitnym tkwią skowronki i każdy świergoce, jakby się zapamiętał.

Stacja!... Tłumy jeszcze większe. Są tu już powołani z Krzywdy Górnej, Krzywdy Dolnej, z Wywłaszczyniec, z Niedoli, Mizerowa. Ruch, gwar i zamieszanie! Ściany na stacji oblepione manifestami. Wojna tu „w imię Boga i Ojczyzny”, landwera pójdzie bronić swych zagrożonych rodzin, żon, dzieci, chat i pól. Francuzi widocznie szczególnież zawzięli się na Pogńębin, na Krzywdę Górną, na Krzywdę Dolną, na Wywłaszczynce, Niedolę i Mizerów. Tak przynajmniej wydaje się tym, którzy czytają afisze. Przed stacją przybywają coraz nowe tłumy. W sali dym z fajek napełnia powietrze i przesłania afisze. W gwarze trudno się zrozumieć: wszyscy chodzą, wołają, krzyczą. Na peronie słychać komendę niemiecką, której gwałtowne słowa brzmią krótko, twardo, stanowczo.

Rozlega się dzwonek: świst! z dala słychać gwałtowny oddech lokomotywy. Coraz bliżej, wyraźniej. To wojna zdaje się przybliżać.

Drugi dzwonek! Dreszcz przebiega wszystkie piersi. Jakaś kobieta poczyną krzyczeć: „Jadam! Jadom!” Woła ona widocznie swego Adama, ale kobiety podchwytyją wyraz i wołają: „Jadą!” Głos jakiś przeraźliwszy nad inne dodaje: „Francuzi jadą!” — i przez jedno mgnienie oka panika ogarnia nie tylko kobiety, ale i przyszłych bohaterów Sedanu. Tłum zakołysał się. Tymczasem pociąg staje przed stacją. We wszystkich oknach widać czapki z czerwonymi lampasami i mundury. Wojska widocznie jak mrowia. Na węglarkach czernieją posępne, podługowate ciała armat; nad otwartymi wozami jeży się las bagnetów. Widocznie kazano żołnierzom śpiewać, bo cały pociąg aż dygoce od silnych głosów męskich. Jakaś siła i potęga bije od tego pociągu, którego końca nie dojrzeć.

Na peronie poczynają formować rekrutów; kto może, żegna się jeszcze. Bartek machnął łapami jakby skrzydłami wiatraka, oczy wytrzeszczył.

— No, Magda, bywaj zdrowa!

— Oj! Moje biedne chłopisko!

— Już mnie nie obaczysz więcej!

— Już cię nie obaczę więcej!

— Nie ma rady nijakiej!

— Niech cię Matka Boska strzeże i chroni...

— Bądź zdrowa; chałupy pilnuj.

Kobieta uchwyciła go za szyję z płaczem.

— Niechże cię Bóg prowadzi.

Nadchodzi ostatnia chwila. Pisk, płacz i lament kobiet zagłusza przez kilka minut wszystko: „Bądźta zdrowi! Bądźta zdrowi!” Ale owoż żołnierze są już oddaleni od bezładnego tłumu: już tworzą czarną zbitą masę, która zwiera się w kwadraty, prostokąty i poczyną poruszać się z tą sprawnością i regularnością ruchów maszyny. Komenda: „Sia-dać!” Kwadraty i prostokąty przełamują się w środku, wyciągają się wąskimi pasami ku wagonom i giną w ich wnętrzu. W dali lokomotywa świszczuje i rzuca kłęby siwego dymu. Teraz oddycha jak smok, zionąc pod siebie strumienie pary. Lament kobiet dochodzi do

najwyższego stopnia. Jedne zasłaniają oczy fartuchami, inne wyciągają ręce ku wagonom. Łkające głosy powtarzają imiona mężów i synów.

— Bądź zdrow Bartek! — woła z dołu Magda. — A nie leż tam, gdzie cię nie posłają! Niech cię Matka Boska... Bądź zdrow! O dlaboga!

— A chałupy pilnuj! — odzywa się Bartek.

Korowód wagonów drgnął nagle; wozy stuknęły jedne o drugie i ruszyły.

— A pamiętaj, że masz żonę i dziecko! — wołała Magda, drepcząc za pociągiem. — Bądź zdrowy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Bądź zdrowy...

Pociąg poruszał się coraz prędzej, wioząc wojowników z Pogńębina, z obydwóch Krzywud, z Niedoli i Mizerowa.

II

W jedną stronę wraca ku Pogńębinowi Magda z tłumem bab i płacze, w drugą stronę świata rwie w siwą dal pociąg najeżony bagnetami, a w nim Bartek. Siwej dali końca nie widać. Pogńębina też ledwo dojrzeć. Lipa tylko szarzeje i wieża na kościele się złoci, bo po niej słońce igra. Wkrótce i lipa rozplynęła się, a złoty krzyż wyglądał tylko jak punkt błyszczący. Dopóki ten punkt świecił, patrzył na niego Bartek, ale gdy i on zniknął, frasunkowi chłopu nie było miary. Zdjęła go niemoc wielka i czuł, że przepadł. Zaczął tedy patrzeć na podoficera, bo już prócz Boga nikogo więcej nie było nad nim. Co się teraz z nim stanie, to już w tym głowa kaprała; sam Bartek już nic nie wie, nic nie rozumie. Kapral siedzi na ławce i trzymając karabin między kolanami pali fajkę. Dym co chwila jakby chmura zasłania mu twarz poważną i markotną. Nie tylko Bartkowe oczy patrzają na tę twarz: patrzają na nią wszystkie oczy ze wszystkich kątów wagonu. W Pogńębinie lub Krzywudzie każdy Bartek lub Wojtek jest sobie pan, każdy musi myśleć o sobie, za siebie, ale teraz od tego kapral. Każe im się patrzeć na prawo, będą patrzeć na prawo, każe na lewo, to na lewo. Każdy pyta się wzrokiem: „No? A co z nami będzie?” — on sam zaś tyle wie, ile i oni, i rad by także, aby kto starszy dał mu pod tym względem jakie rozkazy lub wyjaśnienia. Zresztą chłopci boją się pytać wyraźnie, bo teraz jest wojna z całym aparatem sądów wojennych. Co wolno, a czego nie wolno, nie wiadomo. Przynajmniej oni nie wiedzą, a straszy ich dźwięk wyrazów takich, jak Kriegsgericht, których dobrze nie rozumieją, ale tym bardziej się boją.

Jednocześnie czują, że ten kapral potrzebniejszy im jeszcze teraz niż na manewrach pod Poznaniem, bo on jeden wie wszystko, on za nich myśli, a bez niego ani rusz. Tymczasem zaciężył mu widocznie karabin, bo go rzucił Bartkowi do trzymania. Bartek porwał skwapliwie za broń, dech wstrzymał, oczy wylupił i patrzył w kaprała jak w tęczę, ale mała mu i z tego pociecha.

Oj, coś źle słyhać, bo i kapral jak z krzyża zdjęty. Na stacjach śpiewy i krzyki; kapral komenderuje, kręci się, łaje, żeby to starszym się pokazać, ale niech no pociąg ruszy, cichną wszyscy i on cichnie. Dla niego także świat ma teraz dwie strony: jedna jasna i zrozumiała — to jego izba, żona i pierzyna; druga ciemna, ale to zupełnie ciemna — to Francja i wojna. Zapal jego, jak i zapal całej armii, chętnie by zapożyczył chodu od raka. Wojowników pogńębińskich ożywiał istotnie duch tym widoczniejszy, że siedzący nie w żołnierzach, ale każdemu na ramieniu. A ponieważ każdy żołnierz dźwigał na ramionach tornister, płaszcz i inne wojskowe przybory, więc wszystkim było nader ciężko.

Tymczasem pociąg fukał, huczał i leciał w dal. Co stacja przyczepiano nowe wagony i lokomotywy. Co stacja widać było tylko pikielhauby, armaty, konie, bagnety, piechurów i chorągiewki ułanów. Zapadał z wolna pogodny wieczór. Słońce rozlało się w wielką czerwoną zorzę, wysoko na niebie unosiły się stada drobnych, lekkich obłoków o brzegach poczerwieniałych od zachodu. Pociąg wreszcie przestał brać ludzi i wagony na stacjach, trząsł się tylko i leciał naprzód w ową jasność czerwoną, jakby w morze krwi. Z otwartego wagonu, w którym siedział Bartek z pogńębińskimi ludźmi, widać było wsie, siola i miasteczka, wieżyczki na kościołach, bociany poprzeginane jak haki, stojące jedną nogą na gniazdach, chałupy osobne, sady wiśniowe. Wszystko to migalo przelotem, a wszystko czerwone. Żołnierze poczęli szeptać między sobą tym śmielej, że podoficer, podłożywszy sakwy pod głowę, zasnął z porcelanową fajką w zębach. Wojciech Gwizdała, chłop z Pogńębina siedzący wedle Bartka, trącił go łokciem:

— Bartek, słuchaj no!

Bartek zwrócił ku niemu twarz z zamyślonymi wylupiającymi oczyma.

— Czegóż patrzysz jak cielę, co idzie na rzeź?... — szeptał Gwizdała. — Ale ty, nieboże, idziesz na rzeź i pewnikiem...

— Oj, oj! — jęknął Bartek.

— Boisz się? — pytał Gwizdała.

— Co się nie mam bać!...

Zorza stała się jeszcze czerwiejsza, więc Gwizdała wyciągnął ku niej rękę i szepnął dalej:

— Widzisz tę jasność? Wiesz, głupi, co to jest? To krew. Tu jest Polska, niby nasz kraj: rozumiesz? A hen tam daleko, gdzie się tak świeci, to właśnie Francja...

— A prędko zajadziewa?

— Albo ci pilno? Mówią, że okrutnie daleko. Ale nie bój się: Francuzi wyjdą na przeciw...

Bartek zaczął pracować ciężko swoją pognębińską głową. Po chwili spytał:

— Wojtek?

— Czego?

— A na ten przykład, co to za naród te Francuzi?

Tu uczoność Wojtka ujrzała nagle przed sobą dół, w który łatwiej jej było wlecieć z głową niż wylecieć na powrót. Wiedział, że Francuzi to są Francuzi. Słyszał coś o nich od starych ludzi, którzy mówili o nich, że zawsze wszystkich bili; na koniec wiedział, że to jacyś bardzo obcy ludzie. Ale jak to tu wytłumaczyć Bartkowi, aby i on wiedział, jak dalece obcy.

Przed wszystkim tedy powtórzył pytanie:

— Co to za naród?

— A juści.

Trzy narody były znane Wojtkowi: w środku „Polaki”, z jednej strony „Moskale”, a z drugiej „Niemcy”. Ale Niemców były różne gatunki. Chcąc więc być jasnym więcej niż ścisłym, rzekł:

— Co to za naród, Francuzi? Jak ci powiedzieć: musi takie Niemcy, tylko jeszcze gorsze...

A Bartek na to:

— O ścierwa!

Do tej pory żywił względem Francuzów jedno tylko uczucie, to jest uczucie nieopisanego strachu. Teraz dopiero poczuł ku nim ten pruski landwerzysta wyraźniejszą patriotyczną niechęć. Jednakże nie wszystko jeszcze rozumiał należycie i dlatego spytał znowu:

— To Niemcy będą z Niemcami wojować?

Tu Wojtek, jak drugi Sokrates, postanowił pójść drogą porównań i odparł:

— Albo to się twój Łysek z moim Burkiem nie gryzą?

Bartek otworzył usta i popatrzył chwilę na swego mistrza.

— O prawda!...

— Przecie i Austriaki Niemcy — prawil Wojtek — a czy się nasi z nimi nie bili? Toć stary Świerszcz opowiadał, że jak był na onej wojnie, to Szejnec krzyczał na nich: „Dalej, chłopcy, na Niemców!” Tylko że z Francuzami nie tak łatwo!

— O laboga!

— Francuzi nigdy żadnej wojny nie przegrały. Taki jak się do ciebie przyczepi, to się nie wykpisz, nie bój się! Każdy jest chłop jak dwa albo trzy razy nasz, a brody to ci mają jak Żydy. Inszy też jest czarny jak diabeł. Takiego jak zobaczysz, to poleć się Bogu!

— No, to po co my do nich pójdziema? — pyta zdesperowany Bartek.

Filozoficzna ta uwaga nie była może tak głupia, jak zdawało się Wojtkowi, który widocznie pod wpływem urzędowych natchnień pośpieszył z odpowiedzią:

— Ja bym też wolał nie iść. Ale nie pójdziemy my, to przyjdą oni. Nie ma rady. Czytałeś, co stało drukowane. Dycht najgorzej zawzięte na naszych chłopów. Ludzie gadają, że ony dlatego takie łakome na tutejsze grunta, bo chcieli wódkę przemycać z Królestwa, a rząd nie daje. I z tego jest wojna: no, rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć! — rzekł z rezygnacją Bartek.

Wojtek mówił dalej:

— Na baby ci też łakome jak pies na sperkę...

— A to by na ten przykład i Magdzie nie przepuścili?

— Ony i starym nie przepuszczają!

— O! — krzyknął Bartek takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „Jeżeli tak, to będę walił!”

Jakoż wydało mu się, że tego już nadto. Wódkę niechby jeszcze sobie z Królestwa przemykali, ale do Magdy im zasię! Teraz mój Bartek jął na całą tę wojnę patrzeć ze stanowiska własnego interesu i poczuł jakąś otuchę na myśl, że tyle wojska i armat występuje w obronie zagrożonej przez bałamuctwo francuskie Magdy. Pięści mu się zacisnęły mimowolnie i strach przed Francuzami pomieszał się w jego umyśle z nienawiścią do nich. Przyszedł do przekonania, iż nie ma już chyba rady, że trzeba iść. Tymczasem jasność niebieska zgasła. Ściemniło się. Wagon na nierównych relsach począł się kołysać mocno, a w takt z jego ruchami kiwały się na prawo i lewo pikielhauby i bagnety.

Upłynęła jedna godzina i druga. Z lokomotywy sypały się miliony iskier, które jak długie złociste kresy i wężyki krzyżowały się ze sobą w ciemnościach. Bartek długo nie mógł zasnąć. Jako owe iskry po powietrzu tak w głowie jego skakały myśli o wojnie, o Magdzie, Pogńębinie, Francuzach i Niemcach. Zdawało mu się, że choćby chciał, nie mógłby się podnieść z tej ławki, na której siedział. Usnął wreszcie, ale niezдоровym półsnem. I zaraz nadleciały widziadła: ujrzał najprzód, jak jego Łysek gryzie się z Wojtkowym Burkiem, aż sierść z nich leci. On cap za kij, żeby ich pogodzić, aż nagle widzi co innego: koło Magdy siedzi Francuz, czarny jak święta ziemia, a Magda kontenta, śmieje się i szczyrzy zęby. Inni Francuzi kpią z Bartka i pokazują na niego palcami... To zapewne lokomotywa trajkoce, ale jemu się zdaje, że to Francuzy wołają: „Magda! Magda! Magda! Mag- da!” Bartek w krzyk: „Stulta pyski, złodzieje, puszczejta babę!” A oni: „Magda! Magda! Magda!” Łysek i Burek szczekają, cały Pogńębin woła: „Nie daj baby!” On czy skrępowany, czy co? nie! rzucił się, targnął, powrozy pękły, Bartek Francuza za łeb — i nagle...

Nagle wstrząsa nim silny ból jakoby gwałtownego uderzenia. Bartek budzi się i zrywa na równe nogi. Cały wagon rozbudzony, wszyscy pytają: co się stało? A to biedaczysko Bartek złapał podoficera przez sen za brodę. Teraz oto stoi wyciągnięty jak drut, dwa palce przy skroni, a podoficer macha rękoma i krzyczy jak wściekły:

— Ach, *Sie dummes Vieh aus der Polakei! Hau' ich den Lummel in die Fresse, dass ihm die Zähne sektionenweise aus dem Maul herausfliegen werden!*

Podoficer aż ochrypl z wściekłości, a Bartek ciągle stoi z palcami przy skroni. Inni żołnierze gryzą wargi, by się nie śmiać, ale boją się, gdyż z ust podoficera padają jeszcze ostatnie strzały: *Ein polnischer Ochse! Ochse aus Podolien!* Na koniec ucichło wszystko. Bartek usiadł na powrót na dawnym miejscu. Czuł tylko, że policzki poczynają mu jakoś nabrzmiewać, a lokomotywa jak na złość powtarza ciągle:

— Magda! Magda! Magda!

Czuł też wielki jakiś żal...

III

Ranek! Rozpierzchłe blade światło oświetla twarze: senne i zmęczone z niewywczasu. Na ławkach śpią w nieładzie żołnierze: jedni z głowami pospuszczanymi na piersi, drudzy z zadartymi w tył. Wstaje jutrzienka i zalewa różowością cały świat. Jest świeżo i rzeźwo. Żołnierze budzą się. Promienny ranek wydobywa z cienia i mgły jakąś nieznaną im krainę. Hej! A gdzie teraz Pogńębin, gdzie Wielka i Mała Krzywda, gdzie Mizerów? To już obczyzna i wszystko inne. Naokół wzgórze porosłe dębiną, w dolinach domy kryte czerwona dachówką, z czarnymi krzyżownicami w białych ścianach, domy piękne jak dwory, obrosłe winem. Gdzieniegdzie kościoły o spiczastych wieżach, gdzieniegdzie kominy fabryczne z pióropuszcami różowych dymów. Tylko ciasno tu jakoś, równi⁴ brak i łańców zbożowych. Ludzi za to mrowie. Migają wsie i miasta. Pociąg nie zatrzymuje się, mija mnóstwo pomniejszych stacji. Coś się musiało stać, bo wszędy widać tłumy. Słońce wychyla się z wolna zza wzgórz, więc jeden i drugi Maciek poczyna głośno pacierz. Za ich

⁴równia — równina. [przypis edytorski]

przykładem idą i inni; pierwsze promienie kładą blask na chłopskie twarze modlące się i poważne.

Tymczasem pociąg zatrzymuje się na głównej stacji. Tłum ludzi otacza go natychmiast: są już wieści z placu boju. Zwycięstwo! Zwycięstwo! Depesze przyszły od kilku godzin. Wszyscy oczekiwali klęsk, więc gdy zbudzono ich pomyślną wieścią, radość nie zna miary. Ludzie na wpół ubrani poopuszczali domy, łóżka i pośpieszyli na stację. Z niektórych dachów powiewają już chorągwie, a ze wszystkich rąk chustki. Do wagonów donoszą piwo, tytoń i cygara. Zapal jest nieopisany, twarze rozpromienione. *Wacht am Rhein* huczy jak burza. Niektórzy płaczą, inni padają sobie w objęcia. Unser Fryc pobił na głowę! Wzięto armaty, chorągwie. W szlachetnym zapale tłumy oddają żołnierzom wszystko, co mają. Otucha wstępuje w serca żołnierzy i zaczynają śpiewać także. Wagony drżą od mocnych męskich głosów, a tłum słucha z zadziwieniem słów niezrozumiałych pieśni. Pogłębińscy śpiewają: „Bartoszu! Bartoszu! oj, nie traćwa nadziei!” — *Die Polen! Die Polen!* — powtarza tłum sposobem objaśnienia i kupi się koło wagonów, podziwiając postawę żołnierza, a zarazem umacniając się w radości opowiadaniem anegdot o strasznym męstwie tych polskich pułków.

Bartek ma rozpuchnięte policzki, co przy jego żółtych wąsach, wylupiastych oczach i ogromnej kościstej postawie czyni go strasznym. Podziwiają go też jak osobliwsze zwierzę. Jakich to Niemcy mają obrońców! Ten dopiero sprawi Francuzom! Bartek uśmiecha się z zadowoleniem, bo i on jest kontent, że Francuzów pobili. Nie przyjdą już przynajmniej do Pogłębin, nie zbałamucą Magdy i nie zabiorą gruntu. Uśmiecha się tedy, ale ponieważ twarz boli go mocno, więc krzywi się zarazem i naprawdę jest straszny. Je za to z apetytem homerycznego bohatera. Kiszki grochowe i kufle piwa znikają w jego ustach jak w czeluści. Dają mu cygara, fenigi: bierze to wszystko.

— Dobry jakiś naród te Niemiaszki — mówi do Wojtka, a po chwili dodaje: — A widzisz, że Francuzów pobili!

Ale sceptyczny Wojtek rzuca cień na jego wesołość. Wojtek wróży jak Kasandra:

— Francuzy zawdy naprzód dają się pobić, żeby zbałamucić, a potem jak się wezmą, aż wióry lecą!

Wojtek nie wie o tym, że zdanie jego podziela większa część Europy, a jeszcze mniej o tym, że cała Europa myli się z nim razem.

Jadą dalej. Wszystkie domy jak okiem sięgnąć pokryte chorągiewami. Na niektórych stacjach zatrzymują się dłużej, bo wszędy pełno pociągów. Wojsko ze wszystkich stron Niemiec śpieszy wzmocnić zwycięskich współbraci. Pociągi poubierane w zielone wieńce. Ułani zatykają na lance bukiety kwiatów darowywane im po drodze. Między tymi ułanami większość także Polaków. Nieraz słychać z wagonu do wagonu rozmowy i nawoływania:

— Jak się mata, chłopcy! A gdzie Pan Bóg prowadzi?

Czasem z przelatującego po sąsiednich relsach pociągu zaleci znajoma piosenka:

„Z tamtej strony Sandomierza
Mówi panna do żołnierza...”

A wtedy Bartek i jego kamraci podchwytyją w lot:

„Panie żołnierzu, chodź pokochać!
Jeszcze nie jadł, Bóg ci zapłaci!”

O ile z Pogłębin wszyscy wyjeżdżali smutni, o tyle teraz pełni są zapału i ducha. Pierwszy pociąg z pierwszymi rannymi przybywającymi z Francji psuje jednak to dobre usposobienie. Staje on w Deutz i stoi długo, by przepuścić te, które śpieszą na plac boju. Ale nim wszystkie przejdą przez most do Kolonii, potrzeba kilku godzin czasu. Bartek leci razem z innymi oglądać chorych i rannych. Niektórzy leżą w zamkniętych, inni dla braku miejsca w otwartych wagonach, i tych można widzieć dobrze. Po pierwszym spojrzeniu duch bohaterski Bartka ulatuje znowu na ramię.

— Chodźże tu, Wojtek — woła z przerażeniem — widzisz ino, ile te Francuzi naposowały narodu!

I jest na co patrzeć! Twarze blade, zmęczone; niektóre szerniały od prochu lub bólu, powalane krwią. Na odgłosy ogólnej radości ci odpowiadają tylko jękami. Niektórzy klną wojnę, Francuzów i Niemców. Usta spieczone i szerniały wołają co chwila wody; oczy poglądują jak błędne. Tu i ówdzie między rannymi widać zeszywniałą twarz konającego, czasem spokojną, z błękitnymi sińcami naokół oczu, czasem wykrzywioną przez konwulsje, z przerażonymi oczyma i wyszczerzonymi zębami. Bartek po raz pierwszy widzi krwawe owoce wojny. W głowie jego znów powstaje zamęt, patrzy jak odurzony i stoi w tłoku z otwartymi ustami; popychają go na wszystkie strony; żandarm daje mu kolbą w kark. On szuka oczyma Wojtka, odnajduje go i mówi:

— Wojtek, bój się Boga! o!

— Będzie tak i z tobą.

— Jezu, Maria! I to się ludziska tak mordują! Toć jak chłop chłopa pobije, to go żandarmy biorą do sądu i karzą.

— No, a teraz ten lepszy, kto więcej ludzisków napsuje. Cóżes, głupi, myślał, że będziesz prochem strzelał jak na manewrach, albo li też do tarczy nie do ludzi?

Tu okazała się widocznie różnica między teorią a praktyką. Nasz Bartek był przecie żołnierzem, chodził na manewry i musztry, strzelał, wiedział, że wojna od tego, by się zabijać, a teraz, jak zobaczył krew rannych, nędzę wojny, zrobiło mu się tak jakoś niedobrze i ckliwo, że ledwie się mógł na nogach utrzymać. Nabrał znów uszanowania dla Francuzów, które zmniejszyło się dopiero wtedy, gdy przyjechali z Deutz do Kolonii. Na centralnym Bahnhofie ujrzeli po raz pierwszy jeńców. Otaczało ich mnóstwo żołnierzy i ludu, który patrzył na nich z dumą, ale jeszcze bez nienawiści. Bartek przedarł się przez tłum rozpychając go łokciami, spojrział na wagon i zdziwił się.

Gromada piechurów francuskich w podartych płaszczach, małych, brudnych, wynędzniałych, napełniała wagon jak śledzie beczkę. Wielu z nich wyciągało ręce po szczupłe datki, jakimi obdzielał ich tłum, o ile straż nie stawiała przeszkody. Bartek, wedle tego, co słyszał od Wojtka, zgoła inne o Francuzach miał wyobrażenie. Duch z ramienia wstąpił mu na powrót w piersi. Obejrzał się, czy Wojtka nie ma. Wojtek stał obok.

— Cóżes gadał? — pyta Bartek — dyć to chmyzy! Jak bym jednego bez łeb lunął, to by się ze czterech wywróciło.

— Musi jakoś zmarnieli — odrzekł również rozczarowany Wojtek.

— Po jakiemu oni szwargocą?

— Juści nie po polsku.

Uspokojony pod tym względem Bartek poszedł dalej wzdłuż wagonów.

— Straszne kapcany — rzekł skończywszy przegląd wojsk liniowych.

Ale w następnych wagonach siedzieli żuawi. Ci więcej dali Bartkowi do myślenia. Z powodu, że siedzieli w wagonach krytych, nie można było sprawdzić, czy każdy jest chłop jak dwa albo trzy razy zwyczajny człowiek, ale przez okna widać było długie brody i marsowate, poważne twarze starych żołnierzy o ciemnej cerze i błyszczących groźnie oczach. Duch Bartka znowu skierował się ku ramionom.

— Te straszniejsze — szepnął cicho, jakby się bał, by go nie słyszeli.

— Jeszcześ nie widział tych, co się nie dali wziąć — odparł Wojtek.

— Bójże się Boga!

— Obaczysz!

Napatrzywszy się żuawom poszli dalej. Zaraz przy następnym wagonie Bartek rzucił się w tył jak oparzony.

— O rety! Wojtek, ratuj!

W otwartym oknie widać było ciemną, prawie czarną twarz turkosa z przewróconymi białkami oczu. Musiał być ranny, bo twarz wykrzywiła mu się cierpieniem.

— A co? — rzecze Wojtek.

— To złe, nie żołnierz... Boże, bądź miłościw mnie grzeszemu!

— Spójrzjzj ino, jakie on ma zębiska.

— A niech go wciornaści! Ja tam nie będę na niego patrzył.

Bartek umilkł, po chwili jednak spytał:

— Wojtek!

— Czego?

— A żeby takiego przeżegnać, czyby nie pomogło?

— Pogany na świętą wiarę nie mają wyrozumienia.

Dano znak do wsiadania. Po chwili pociąg ruszył. Gdy ściemniło się, Bartek widział ciągle przed sobą czarną twarz turkosa i straszne białka jego oczu. Z uczuć, które w tej chwili ożywiały tego pognębińskiego wojownika, niewiele można by wywróżyć o jego przyszlých czynach.

IV

Bliższy udział w walnej rozprawie pod Gravelotte początkowo przekonał Bartka tylko o tym, że w bitwie jest na co się gapić, a nie ma co robić. Z początku bowiem kazano stać i jemu, i jego pułkowi z karabinem u nóg u stóp wzgórze pokrytego winogradem. Z dala grały armaty, z bliska przelatowały pulki konne z tętentem, od którego ziemia się trzęsła; migotały to chorągiewki, to kirasjerskie miecze. Nad wzgórzem po błękitnym niebie przelatowały z sykiem granaty w kształcie białych obłoczków, potem dym nappełnił powietrze i zasłonił horyzont. Zdawało się, że bitwa jak burza przechodzi stronami, ale trwało to niedługo.

Po pewnym czasie dziwny jakiś ruch powstał koło Bartkowego pułku. Poczęły koło niego stawać inne pulki, a w przerwy pomiędzy nimi nadbiegały, co koń wyskoczy, armaty, które wyprzęgano na gwałt i obracano paszczami ku wzgórzom. Cała dolina nappełniła się wojskiem. Teraz na wszystkie strony grmią komendy, latają adiutanci. A nasi szeregowcy szepcą sobie do ucha: „Oj! będziez nam, będzie!” — lub pytają jeden drugiego z niepokojem: „Czy to już się zacznie?” — „Zapewne już”. Oto zbliża się niepewność, zagadka, może śmierć... W dymie, który zasłania wzgórze, wre coś i kotłuje się strasznie. Słychać coraz bliżej basowy huk dział i stukotanie karabinowego ognia. Z dala dochodzi jakby niewyraźny jakiś trzask: to kartaczownice już słychać. Nagle, jak hukną dopiero co postawione armaty, aż ziemia i powietrze zadygotały razem. Przed Bartkowym pułkiem zasyczało strasznie. Spojrzą: leci niby róża jasna, niby chmurka, a w tej chmurce coś syczy, śmieje się, zgrzyta, rży i wyje. Chłopi wołają: „Granat! granat!” Tymczasem pędzi ten ptak wojny jak wichra, zbliża się, spada, pęka! Huk straszny rozdarł uszy, łoskot, jakby się świat walił, i pęd jakby od uderzenia wiatru. Zamieszanie powstaje w szeregach stojących w pobliżu armat, rozlega się okrzyk i komenda: „Szłusuj!” Bartek stoi w pierwszym szeregu, karabin przy ramieniu, łeb do góry, broda podpięta, więc zęby nie kłapią. Nie wolno drgnąć, nie wolno strzelać. Stać! Czekać! Aż tu leci drugi granat, trzeci, czwarty, dziesiąty!... Wichra zwiewa dym z wzgórze. Francuzi już spędzili z niego baterie pruskie, już postawili swoje i teraz zieją ogniem na dolinę. Co chwila z gęstwy winogradu wyskakują długie, białe rzuty dymu. Piechota pod zasłoną armat zstępuje coraz niżej, by rozpocząć ręczny ogień. Są już w połowie wzgórze. Teraz widać ich doskonale, bo wiatr odrzuca dymy. Czy winograd zakwitł makiem? Nie, to czerwone czapki piechurów. Naraz nikną między wysoką łożą winną, nie widać ich; gdzieniegdzie tylko wieją trójkolorowe chorągwie. Ogień karabinowy rozpoczyna się szybki, gorączkowy, nieregularny, wybuchający nagle w coraz innych miejscach. Nad tym ogniem wyją ciągle granaty i krzyżują się w powietrzu. Na wzgórze czasem wybuchną okrzyki, którym z dołu odpowiada niemieckie: „hurra!” Armaty z doliny huczą nieprzerwanym ogniem. Pułk stoi niewzruszony.

Sfera ognia poczyna go jednak z kolei obejmować. Kule bzykają niby muchy, niby bąki z daleka lub przelatują ze straszonym świstem w pobliżu. Coraz ich więcej: oto świszczą koło głów, nosów, oczu, ramion, idą ich tysiące, miliony. Dziw, że jeszcze ktoś stoi na nogach. Nagle tuż za Bartkiem odzywa się jęk: „Jezu!”, potem: „Szłusuj!”, znów: „Jezu!” — „Szłusuj!” Wreszcie jęk już nieprzerwany, komenda coraz śpieszniejsza, szeregi ściskają się, świst coraz częstszy, nieustający, okropny. Zabitych wyciągają za nogi. Sąd Boży!

— Boisz się? — pyta Wojtek.

— Co się nie mam bać!... — odpowiada nasz bohater szcękając zębami.

A jednak stoją obaj, i Bartek, i Wojtek, i nawet do głowy im nie przychodzi, że można by zemknąć. Kazali im stać — i kwita! Bartek kłamie. Nie boi on się tak, jakby tysiące innych bało się na jego miejscu. Dyscyplina panuje nad jego wyobraźnią, a wyobraźnia nie maluje mu nawet tak okropnym położenia, jak ono jest. Bartek jednak sądzi, że go zabiją, i powierza tę myśl Wojtkowi.

— Dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją! — odpowiada rozdrażnionym głosem Wojtek.

Słowa te uspokajają Bartka znacznie. Zdawałoby się, że głównie chodziło mu o to, czy się dziura w niebie nie robi. Uspokojony pod tym względem, stoi cierpliwie, czuje tylko okropne gorąco i pot zlewa mu twarz. Tymczasem ogień staje się tak straszny, że szeregi topnieją w oczach. Zabitych i rannych nie ma już kto wyciągać. Chrapanie konających miesza się ze świstem pocisków i hukiem wystrzałów. Po ruchu trójbarwnych chorągwi widać, że ukryte w winnicy piechury zbliżają się coraz bardziej. Stada kartaczy dziesiątkują szeregi, które poczyna ogarniać rozpacz.

Ale w odgłosach tej rozpaczki czuć pomruk zniecierpliwienia i wściekłości. Gdyby kazano im iść naprzód, poszliby jak burza. Nie mogą tylko ustać na miejscu. Jakiś żołnierz zrywa nagle czapkę z głowy, ciska ją z całej siły o ziemię i mówi:

— Raz kozie śmierć!

Bartek doznaje znów na te słowa tak znakomitej ulgi, że prawie zupełnie przestaje się bać. Bo jeżeli raz kozie śmierć, to właściwie o nic wielkiego nie chodzi. Jest to filozofia chłopska, lepsza od każdej innej, skoro dodaje otuchy. Bartek zresztą wiedział, że raz kozie śmierć, ale miło mu to było usłyszeć i mieć zupełną pewność, zwłaszcza że bitwa zaczęła się zmieniać w pogrom. Oto pułk, nie wystrzelwszy ani razu, jest już do połowy zniszczony. Tłumy żołnierzy z innych rozbitych pułków przebiegają koło niego w nieładzie; tylko ci chłopcy z Pogonębina, Krzywdy Wielkiej, Krzywdy Małej i Mizerowa, trzymani żelazną pruską dyscypliną, stoją jeszcze. Ale i w ich szeregach czuć już pewne wahanie się. Za chwilę pękną karby dyscypliny. Ziemia pod ich nogami staje się już miękka i śliska od krwi, której surowy zapach miesza się z wonią dymu. W niektórych miejscach szeregi nie mogą się zewrzeć, bo trupy czynią w nich przerwy. U nóg tych ludzi, którzy jeszcze stoją, druga połowa leży we krwi, w jękach, w konwulsjach, w konaniu lub w ciszy śmierci. Oddechom braknie powietrza. W szeregach powstaje szmer.

— Na rzeź nas przywiedli!

— Nikt nie wyjdzie!

— *Still, polnisches Vieh!*— odzywa się głos oficera.

— Dobrze ci za moim kołnierzem...

— *Steht der Kerl da!*

Nagle jakiś głos poczyna mówić:

— Pod Twoją obronę...

Bartek podchwytuje natychmiast:

— Uciekamy się, święta Boża Rodzicielko!

I wkrótce chór polskich głosów na tym polu zagłady woła oto do Pa-tronki Częstochowskiej: „Naszymi prośbami nie racz gardzić!” A spod nóg wtórują im jęki: „O Mario, Mario!” I wysłuchała ich widocznie, bo w tej chwili na spienionym koniu przybiega adiutant, rozlega się komenda: „Do ataku broń! Hurra, naprzód!” Grzebień bagnetów pochyła się nagle, szereg wyciąga się w długą linię i rzuca się ku wzgórzom szukać bagnetem tych nieprzyjaciół, których nie mogły dostrzec oczy. Wszelako od stóp wzgórza dzieli naszych chłopów jeszcze ze dwieście kroków i przestrzeń tę muszą przebyć pod morderczym ogniem... Czy nie wyginą do reszty? Czy się nie cofną? Wyginąć mogą, ale się nie cofną, bo komenda pruska wie, na jaką nutę grać tym polskim chłopom do ataku. Wśród ryku dział, wśród karabinowego ognia, dymu i zamieszania, i jęków głośniejszym nad wszystko, trąby i trąbki biją w niebo hymnem, od którego każda kropla krwi skacze w ich piersiach. „Hurra!” odpowiadają Maćki. „Póki my żyjemy!” Ogarnia ich zapal, płomień bije im na twarze! Idą jak burza przez zwalone ciała ludzkie, końskie, przez złomy armatnie. Gina, ale idą z krzykiem i śpiewem. Już dobiegają krańca winnicy, nikną w zaroślach. Śpiew tylko brzmi, czasem błysnie bagnet. Na górze wre ogień coraz straszniejszy. Na dole trąbki wciąż grają. Salwy francuskich wystrzałów stają się śpieszniejsze, jeszcze śpieszniejsze, gorączkowe i nagle...

Nagle milkną.

Tam na dole stary wilk wojny, Steinmetz, zapala porcelanową fajkę i mówi z akcentem zadowolenia:

— Im tylko to grać! Doszli, zuchy!

Jakoż po chwili jeden z dumnie powiewających trójbarwnych sztandarów podskakuje w górę, pochyła się i niknie...

— Nie żartują! — mówi Steinmetz.

Trąby grają znowu tenże sam hymn. Drugi pułk poznański idzie w pomoc pierwszemu.

W gęstwinie wre bitwa na bagnety.

Teraz, Muzo, śpiewaj mojego Bartka, aby potomność wiedziała, co czynił. Oto i w jego sercu strach, niecierpliwość, rozpacz zwały się w jedno uczucie wściekłości; a gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim jak drut żelazny. Włos stanął mu dębem, z oczu skry poszły. Zapomniał o świecie, o tym, że „raz kozie śmierć”, i chwyciwszy w potężne łapy karabin skoczył z drugimi naprzód. Dobiegłszy wzgórza przewrócił się z dziesięć razy na ziemię, stłukł sobie nos, powalał się ziemią i krwią, która mu z nosa pociekła, i biegł naprzód, wściekły, zziębnięty, chwytając w otwarte usta powietrze. Wyrzeszczał oczy, by w gęstwinie zobaczyć jak najprędzej jakiego Francuza, i dojrzał ich wreszcie trzech naraz przy chorągwi. Byli to turkosy. Ale czy myślicie, że Bartek się cofnął? Nie! On by teraz samego Lucypera brał za rogi! Dopadł już do nich i oni z wyciem rzucili się ku niemu; dwa bagnety jakby dwa żądła już, już tykają jego piersi, a mój Bartek jak złapie za karabin z cienkiego końca, niby kłonicę, jak machnie, jak poprawi... Wzrask tylko odpowiedział mu straszny, jak dwa czarne ciała poczęły drgać konwulsyjnie na ziemi.

W tej chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, podbiegło na pomoc z dziesięciu towarzyszy. Bartek jak furia rzucił się na wszystkich razem. Dali ognia — błysnęło, huknęło — i jednocześnie w kłębach dymu zagrzmiął chrapliwy ryk Bartka.

— Chybiliście!

I znów karabin w jego rękę zatoczył huk straszliwy. Znów jęki odpowiedziały ciosom. Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego z wściekłości olbrzymia i czy się Bartek przesłyszał, czy też wołali coś po arabsku, dość że wyraźnie mu się zdało, iż z ich szerokich warg wychodzi okrzyk:

— „Magda! Magda!”

— Magdy wam się chce! — zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w tej chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu w pomoc. Wśród gęstwiny winogrodu zawiązała się bitwa ścieśniona i tłumna, której wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał jak burza. Osmałony dymem, obłany krwią, podobniejszy do zwierzęcia niż do człowieka, niepamiętny na nic, każdym uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwałął głowy. Ręce jego poruszały się ze straszną szybkością maszyny siejącej zniszczenie. Dotarłszy do chorążego chwycił go żelaznymi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzch, twarz nabrzmiała, zacharczał i ręce jego puściły drzewiec.

— Hurra! — krzyknął Bartek i podniósłszy chorągiew zakolysał nią w powietrzu.

Ten to wznoszący się i opadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

Ale mógł go widzieć tylko przez jedno mgnienie oka, bo w drugim — Bartek tą samą chorągwią strzaskał już jakąś głowę nakrytą kepi ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli już naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar, schował go w zanadrze i chwyciwszy w obie ręce drzewce rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów wyjął nieludzkimi głosami uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórza armatom, za nimi zaś biegli Maćki krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnetami.

Żuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

— Hurra! — krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat. Zawiązała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W tej chwili też drugi pułk poznański nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwi drzewce w potężnych łapach Bartka zmieniły się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną drogę w ścieśnionych szeregach francuskich. Przeważenie też zaczęło ogarniać żuawów i turkosów. W miejscu, w którym walczył Bartek, pierzchli. Po chwili pierwszy Bartek siedział już na armacie jak na pognębińskiej kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzec go na niej, on już siedział na drugiej, przy której znów obalił chorążego z chorągwią.

— Hurra, Bartek! — powtórzyli żołnierze.

Zwycięstwo było zupełne. Zdobyto wszystkie kartaczownice. Pierzchająca piechota, wpadłszy po drugiej stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

Bartek zdobył jednak w pogoni trzecią jeszcze chorągiew.

Trzeba było go widzieć, gdy zmęczony, oblany potem i krwią, sapiąc jak miech kowalski, zstępował teraz wraz z innymi ze wzgórza, dźwigając na ramionach trzy chorągwie. Francuzi! Hej! Co on sobie teraz z nich robił! Obok niego szedł podrapany i pokiereszowany Wojtek, więc Bartek do niego:

— Cóżżeś gadał? Toć to robactwo: siły w kościach nijakiej nie ma. Podrapały ta mnie i ciebie jak kociaki, ale i tyła. A com którego lunął, to ci o ziemię...

— Kto cię wiedział, żeś taki zawzięty! — odparł Wojtek, który widział czyny Bartka i począł patrzeć na niego zgoła innymi oczyma.

Ale któż tych czynów nie widział? Historia, cały pułk i większość oficerów. Wszyscy spoglądali teraz na tego olbrzymiego chłopca o rzadkich płowych wąsach i wylupiastych oczach z podziwem. — Ach! *Sie verfluchter Polacke!* — powiedział mu sam major i pociągnął go za ucho, a Bartek aż mu trzonowe zęby pokazał z radości. Gdy pułk znów stanął u stóp wzgórza, major pokazał go pułkownikowi, a pułkownik samemu Steinmetzowi.

Ten obejrzał sztandary i kazał je zabrać, po czym począł oglądać Bartka. Mój Bartek stoi znowu wyciągnięty jak struna i prezentuje broń, a stary generał patrzy na niego i kręci głową z zadowoleniem. Na koniec zaczyna coś mówić do pułkownika. Słysząc wyraźnie słowo: *Unteroffizier*.

— *Zu dumm, Excellenz* — odpowiada major.

— Spróbujmy — mówi Jego Ekscelencja i zwracając konia zbliża się do Bartka.

Bartek sam już nie wie, co się z nim dzieje. Rzecz niesłychana w pruskiej armii: generał będzie rozmawiał z szeregowcem! Jego Ekscelencji przyjdzie to tym łatwiej, że umie po polsku. Zresztą szeregowiec ten zdobył trzy sztandary i dwie armaty.

— Skąd jesteś? — pyta generał.

— Z Pognębina — odpowiada Bartek.

— Dobrze. Imię twoje?

— Bartek Słowik.

— *Mensch...* — tłumaczy major.

— *Mens!* — powtarza Bartek.

— Wiesz, za co bijesz Francuzów?

— Wiem, Celencyjo...

— Powiedz!

Bartek poczyna się jąkać: „Bo... bo...” Nagle słowa Wojtka przychodzą mu szczęśliwie na pamięć, wybucha więc prędko, by nie przekreślić:

— Bo to także Niemcy, tylko ścierwa gorsze!

Twarz starej Ekscelencji poczyna tak drgać, jakby Jego Ekscelencja miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Po chwili jednak Jego Ekscelencja zwraca się do majora i mówi:

— Miałeś pan słuszność.

Mój Bartek, kontent z siebie, stoi ciągle jak struna.

— Kto wygrał dziś bitwę? — pyta znowu generał.

— Ja, Celencyjo! — odpowiada bez wahania Bartek.

Twarz Ekscelencji poczyna znów drgać.

— Tak, tak, ty! A oto masz nagrodę...

Tu stary wojownik odpina krzyż żelazny z własnej piersi, następnie schyla się i przypina go Bartkowi. Dobry humor generała drogą zupełnie naturalną odbija się na twarzach pułkownika, majorów, kapitanów, aż do podoficerów. Po odjeździe generała pułkownik daje ze swej strony Bartkowi dziesięć talarów, major pięć i tak dalej. Wszyscy powtarzają mu, śmiejąc się, że wygrał bitwę, skutkiem czego Bartek jest w siódmym niebie.

Dziwna rzecz. Jeden tylko Wojtek nie bardzo jest z naszego bohatera zadowolony.

Wieczorem, gdy zasiedli obaj przy ognisku i gdy szlachetna twarz Bartka zapchana była kiszka grochową tak dokładnie, jak sama kiszka grochem, Wojtek ozwał się tonem rezygnacji:

— Oj, ty Bartek, głupi jesteś, bo głupi...

— Albo co? — mówi przez kizskę Bartek.

— Cóżżeś ty, czleku, nagadał generałowi o Francuzach, że ony Miemcy?

- A sameś prawil...
- Ale trzeba ci było zmiarkować, że generał i oficerzy też Miemcy.
- To i co z tego?

Wojtek począł się jakoś jękać.

- To, że choć ony Miemcy, ale nie trzeba im tego mówić, boć to zawdy nieładnie...
- Toć ja na Francuzów powiedziałem, nie na nich...
- Ej, kiedy bo to...

Wojtek uciał nagle, widocznie sam chciał także co innego powiedzieć; chciał oto wytłumaczyć Bartkowi, że przy Niemcach nie należy źle mówić o Niemcach, ale jakoś mu się język poplątał...

V

W jakiś czas potem królewsko-pruska poczta przywiozła do Pognębina list następujący: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego święta Rodzicielka! Najukochańsza Magdo! Co u ciebie słyhać? Dobrze ci w chałupie pod pierzyną, a ja tu wojuję okrutnie. Byliśma koło wielkiej fortecy Miecu i była bitwa, i takim ci Francuzów sprął, że się cała infanteria i artyleria dziwowały. I sam jenerał się dziwował, i powiedział, że batalię wygrał, i dał mnie krzyż. A teraz to ci mnie i oficerzy, i unteroficerzy bardzo szanują i po pysku mało co biją. Potem pomaszzerowaliśma dalej i była druga batalia, jeno zahaczyłem, jak się to miasto nazywa, i teżem prął, i czwarty sztandar wziąłem, a jednego największego pułkownika od kirasjerów tom przetrącił i do niewoli zabrałem. A jak będą nasze pulki odsyłać do domu, to mi unteroficer radził, żebym napisał „ryklamację” i ostał się, bo na wojnie tylko spać gdzie nie ma, ale żreć czasem, ile wytrzymasz, i wino w tym kraju jest wszędzie, bo naród bogaty. Jakaśma palili jedną wieś, tośma i dzieciom, i babom nie przepuścili, i ja też. Kościół ci się spalił do cna, bo ony są katoliki, i ludzi się popiekło niemało. Idziema teraz na samego cesarza i będzie koniec wojny, a ty pilnuj chałupy i Franka, bo niechbyś nie pilnowała, to bym ci chyba giry poprzetrącał, żebyś wiedziała, com za jeden. Bogu cię polecam.

Bartłomiej Słowik”.

Bartek widocznie zasmakował w wojnie i począł patrzeć na nią jak na właściwe sobie rzemiosło. Nabrał wielkiej ufności w siebie i do bitwy teraz szedł, jakby się zabierał do jakiej roboty w Pognębiniu. Na piersi jego po każdej rozprawie leciały medale i krzyże, a choć podoficerem nie został, powszechnie miano go za pierwszego szeregowca w pułku. Był zawsze karny jak dawniej i posiadał ślepe męstwo człowieka, który nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Męstwo to nie płynęło już tak jak w pierwszych chwilach z wściekłości. Teraz źródłem jego była praktyka żołnierska i wiara w siebie. Przy tym olbrzymie jego siły wytrzymywały wszelkie trudy, pochody i niewczasy. Ludzie marnieli obok niego, on jeden trwał niespożycie, tylko dziczał coraz bardziej i stawał się coraz sroższym pruskim żołdakiem. Począł on teraz nie tylko bić Francuzów, ale i nienawidzić ich. Pozmieniały się też i inne jego pojęcia. Stał się żołnierzem-patriotą i uwielbiał ślepo swoich przywódców. W następnym liście pisał do Magdy:

„Wojtka na dwoje rozerwało, ale od tego jest wojna, rozumiesz? On też był kiep, bo powiadał, że Francuzy to Niemcy, a ony są Francuzy, a Niemcy to nasi”.

Magda w odpowiedzi na obydwie listy nawymyślała mu, co wlaźło:

„Najukochańszy Bartku — pisała — przed ołtarzem świętym mi poślubiony! Ażeby cię Bóg pokarał! Tyś sam kiep, poganinie, kiedy naród katolicki na spółkę z kasztanami mordujesz. To nie rozumiesz, że kasztany są lutry, a ty, katolik, im pomagasz! Chce ci się wojny, walkoniu, bo możesz nic nie robić, jeno się bić, pić i innych poniewierać, i nie pościć, i kościoły palić. A bodaj ciebie w piekle za to palili, że się jeszcze tym chwalisz, i ni na starych, ni na dzieci nie masz wyrozumienia. Pamiętaj, baranie, na to, co w świętej wierze jest pisane złotymi literami od początku świata do dnia sądu ostatecznego dla polskiego narodu, w którym dniu Bóg najwyższy nie będzie miał dla takich capów wyrozumienia, i pohamuj się, Turku jeden, żebym ci tego twojego lba nie rozbiła. Pięć talarów ci posyłam, choć mi tu bieda, bo sobie rady dać nie mogę, i gospodarstwo się marnuje. Ściskam cię, najukochańszy Bartku.

Magda”.

Morały w liście tym zawarte małe na Bartku zrobiły wrażenie: „Baba służby nie rozumie — myślał sobie — a wtrąca się”. I wojował po staremu. Odznaczał się w każdej niemal bitwie, tak że w końcu padły nań oczy jeszcze od Steinmetzowych dostojniejsze. Na koniec, gdy zniszczone pułki poznańskie odesłano w głąb Niemiec, on za radą podoficera podał „reklamację” i został. Skutkiem tego znalazł się pod Paryżem.

Listy jego pełne były teraz lekceważenia dla Francuzów. „W każdej bitwie ta ci zdzierają jak zajęce” — pisał do Magdy. I pisał prawdę. Ale oblężenie niezbyt przypadło mu do smaku. Pod Paryżem trzeba było leżeć po całych dniach w okopach i słuchać huku dział, częstokroć sypać szańce i moknąć. Przy tym żał mu było swego dawnego pułku. W tym, do którego przeniesiono go teraz jako ochotnika, otaczali go po większej części Niemcy. Po niemiecku umiał on trochę, bo się jeszcze w fabryce nieco poduczył, ale tak sobie piąte przez dziesiąte. Teraz zaczął się wprawiać szybko. Nazywano go jednak w pułku *ein polnischer Ochse* i tylko jego krzyże, i straszliwe pięści zaślaniały go przed dotkliwymi żartami. Wszelako po kilku bitwach zyskał sobie szacunek u nowych towarzyszy i począł się z nimi żywać powoli. W końcu uważano go za jednego ze swoich, ile że cały pułk okrywał sławą. Bartek poczytywałby sobie zawsze za obelgę, gdyby go kto nazwał Niemcem, ale za to sam siebie, w przeciwstawieniu do Francuzów, nazywał *ein Deutscher*. Zdawało mu się, że to zupełnie co innego, a przy tym nie chciał uchodzić za gorszego niż inni. Zaszedł wszelako wypadek, który dałby mu wiele do myślenia, gdyby myślenie w ogóle było łatwiejsze dla tego bohaterskiego umysłu. Oto pewnego razu kilka kompanii jego pułku wykomenderowano przeciw wolnym strzelcom, zrobiono na nich zasadzkę i strzelcy w nią wpadli. Ale tym razem Bartek nie ujrzał czerwonych czapek pierzchających po pierwszych strzałach, oddział bowiem składał się ze starych żołnierzy, rozbitków jakiegoś pułku legii zagranicznej. Otoczeni, bronili się zacięcie, a wreszcie rzucili się, by bagnetem utorować sobie drogę przez opasujący ich krąg pruskiego żołdactwa. Bronili się z taką zaciętością, że część ich przebiła się przez wojska, szczególnie zaś nie dawali się brać żywcem, wiedząc, jaki los czeka pochwyconych wolnych strzelców. Kompania, w której służył Bartek, pochwyliła też dwu tylko jeńców. Wieczorem umieszczono ich w izbie, w domu leśnika. Nazajutrz mieli być rozstrzelani. Straż kilku żołnierzy stanęła przy drzwiach, Bartka zaś postawiono w izbie pod wybitym oknem razem ze związanymi jeńcami.

Jeden z nich był to niemłody człowiek, z siwiejącymi wąsami i twarzą obojętną na wszystko; drugi wyglądał na dwadzieścia kilka lat: jasne wąsy zaledwie sypały mu się na twarzy, podobniejszej do twarzy panny niż żołnierza.

— Ot i koniec — rzekł po chwili młodszy — kula w łeb i koniec!

Bartek drgnął, aż karabin zadźwięczał mu w rękę: młody chłopak mówił po polsku...

— Mnie tam już wszystko jedno — odrzekł zniechęconym głosem drugi — dalibóg, wszystko jedno. Nateralem się już tyle, że mam dosyć...

Bartkowi serce biło pod mundurem coraz żywiej...

— Słuchaj no — mówił dalej stary — nie ma rady. Jeśli się boisz, to myśl o czym innym albo się połóż spać. Życie jest podłe! Jak mi Bóg miły, tak wszystko jedno.

— Matki mi żal! — odparł głucho młodszy.

I widocznie chcąc stłumić wzruszenie lub oszukać samego siebie, począł gwizdać. Nagle przerwał i zawołał z głęboką rozpaczą:

— Niechże mnie piorun trzaśnie! Nawetem się nie pożegnał!

— Toś uciekł z domu?

— Tak. Myślałem: pobiją Niemców, będzie Poznańczykom lepiej.

— I ja tak myślałem. A teraz...

Stary kiwnął ręką i dokończył coś z cicha, ale resztę jego słów zagłuszył szum wiatru. Noc była zimna. Drobny deszcz zaczął od czasu do czasu falami, pobliski las czarny był jak kir. W izbie wicher świstał po kątach i wyl w kominie jak pies. Lampa umieszczona wysoko nad oknem, aby jej wiatr nie zgasił, rzucała sporo migotliwego światła na izbę, ale stojący pod nią tuż przy oknie Bartek pogrążony był w ciemności.

I może lepiej, że jeńcy nie widzieli jego twarzy. Z chłopem działały się dziwne rzeczy. Z początku ogarnęło go zdziwienie i wytrzeszczał na jeńców oczy, i starał się zrozumieć, co mówią. Toż oni przyszli bić Niemców, żeby Poznańczykom było lepiej, a on bił Francuzów, żeby Poznańczykom było lepiej! I tych dwóch jutro rozstrzelają! Co to jest? Co on, biedak,

ma o tym myśleć? A żeby się tak ozwał do nich? Żeby im powiedział, że on swój człowiek, że mu ich żal. Nagle złapało go coś za gardło. I co on im powie? Czy ich wyratuje? To i jego rozstrzelają! Hej, rety! Co się z nim dzieje? Żal go tak dusi, że nie może ustać na miejscu.

Jakaś straszna tęsknota nadlatuje na niego, aż het gdzieś z Pogńębina. Nieznany gość w żołdackim sercu, litość, krzyczy mu w uszy: „Bartku! Ratuj swoich, to swoi!” — a serce wyrwa się do domu, do Magdy, do Pogńębina, i tak się rwie jak nigdy przedtem. Dosyć ma tej Francji, tej wojny i bitew! Coraz wyraźniej słyszy głos:

„Bartku, ratuj swoich!” Ażby ta wojna pod ziemię się zapadła! Przez wybite okna czernieje las i szumi jako pogńębińskie sosny, a w tym szumie woła coś znowu: „Bartku, ratuj swoich!”

Cóż on zrobi?

Ucieknij z nimi do lasu czy co? Wszystko, co tylko pruska dyscyplina zdołała w niego wszczepić, od razu wzdryga się na tę myśl... W Imię Ojca i Syna! Tylko się przed nią przeżegnać. On, żołnierz, ma dezertować? Nigdy!

Tymczasem las szumi coraz mocniej i wicher świszcząc coraz żałośniej. Starszy jeniec odzywa się nagle:

— A to wiatr, jakby jesienią u nas...

— Daj mi pokój... — rzecze pogńębionym głosem młodszy.

Po chwili jednak powtarza kilkakrotnie:

— U nas, u nas, u nas! O Boże! Boże!

Głębokie westchnienie zlewa się z poświstem i jeńcy leżą znów cicho.

Bartka poczyna febra trząść.

Najgorzej, gdy sobie człowiek nie zdaje sprawy z tego, co mu jest. Bartek nic nie ukradł, a tak mu się zdaje, jakby co ukradł i jakby się bał, że go złapią. Nic mu nie grozi, a przecie boi się czegoś okrutnie. Oto nogi dygocą pod nim, karabin cięży mu strasznie i coś go dusi, jakby jaki wielki płacz. Za Magdą czy za Pogńębinem? Za obojgiem, ale i tego młodszego jeńca tak mu żal, że sobie rady dać nie może.

Chwilami zdaje się Bartkowi, że śpi. Tymczasem zawierucha na dworze jeszcze się powiększa. W poświście wiatru mnożą się dziwne wołania i głosy.

Nagle Bartkowi każdy włos staje dębem pod pikielhaubą.

Oto wydaje mu się, że tam gdzieś w ciemnych, mokrych głębiach boru ktoś jęczy i powtarza: „U nas, u nas, u nas!”

Bartek wzdryga się i uderza kolbą w podłogę, by się rozbudzić.

Jakoż przychodzi do przytomności... Ogląda się: jeńcy leżą w kącie, lampa migoce, wiatr wyje, wszystko w porządku.

Światło pada teraz obficie na twarz młodego jeńca. Iście twarz dziecka albo dziewczyny. Ale oczy ma przymknięte, słomę pod głową i wygląda jakby już umarły.

Jak Bartek Bartkiem, nigdy go tak nie nurtował żal. Wyraźnie ścisną go coś za gardło, wyraźnie płacz mu idzie z piersi.

Tymczasem starszy jeniec obraca się z trudnością na bok i mówi:

— Dobranoc, Władek...

Następuje cisza. Upływa godzina. Z Bartkiem coś naprawdę źle. Wiatr gra jak organy pogńębińskie. Jeńcy leżą cicho, nagle młodszy podnosi się trochę z wysileniem i woła:

— Karol?

— Co?

— Śpisz?

— Nie...

— Słuchaj! Ja się boję... Mów, co chcesz, a ja się będę modlił...

— To się módl!

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Łkanie przerywa nagle słowa młodego jeńca... wszelako słyhać jeszcze przerywany głos:

— Bądź... wola... Twoja!...

— O Jezu! — wyje coś w piersiach Bartka. — O Jezu!...

Nie! on już nie wytrzyma dłużej! Chwila jeszcze, a krzyknie: „Paniczu! toć ja chłop!...” Potem przez okno... w las... Niech się dzieje, co chce!...

Nagle od strony sieni dają się słyszeć miarowe kroki. To patrol, a z nim podoficer. Zmieniają straż!

Nazajutrz Bartek od rana był pijany. Następnego dnia także...

Ale w dalszych dniach przysłyły nowe pochody, potyczki, marsze... i miło mi oznajmić, że nasz bohater wrócił do równowagi. Po owej nocy zostało mu tylko trochę zamięłowania do butelki, w której zawsze można znaleźć smak, a czasem i zapomnienie. Zresztą w bitwach bywał jeszcze okrutniejszy niż dotąd; zwycięstwo szło w jego ślady.

VI

Znów upłynęło kilka miesięcy. Było już dobrze z wiosny. W Pognębinie wiśnie w sadzie kwitły i pokryły się bujnym liściem, a na polach zieleniała ruń obfita. Pewnego razu Magda, siedząc pod chałupą, obierała na obiad marne, kielkowane kartofle, zdatniejsze dla trzody niż dla ludzi. Ale był to przednówek i bieda zajrzała trochę do Pognębina. Znać ją było i z twarzy Magdy, poczerwiałej i pełnej frasunku. Może też dla rozpedzenia go kobieta przymykając oczy śpiewała cienkim, wyężonym głosem:

„Oj! mój Jasieńko na wojnie! oj! listy pisze do mnie!
Oj! i ja też do niego — oj! bom żoneczka jego”.

Wróble na czereśniach świergotały, jakby ją pragnęły zagłuszyć, a ona śpiewając spoglądała w zamyśleniu to na psa, śpiącego na słońcu, to na drogę, przechodzącą koło chałupy, to na steczkę, idącą od dróg, przez ogród i pola. Może dlatego spoglądała Magda na steczkę, że wiodła ona na przelaj i do stacji, tak Bóg dał, że tego dnia nie spoglądała na nią na próżno. W dali ukazała się jakaś postać i kobieta przysłoniła oczy ręką, ale nie mogła nic dojrzeć, bo ją blask ślepił. Łysek tylko rozbudził się, podniósł głowę i szczełkawszy krótko poczał węszyć, nadstawiając uszu i przekręcając te na obie strony. Jednocześnie do uszu Magdy doszły niewyraźne słowa pieśni. Łysek zerwał się naraz i całym pędem skoczył ku zbliżającemu się człowiekowi. Wówczas Magda przybladła trochę.

— Bartek, czy nie Bartek?

Wstała nagle, tak że aż niecułka z kartoflami potoczyła się na ziemię; teraz już nie było wątpliwości. Łysek tam skakał do piersi przybyłego. Kobieta rzuciła się naprzód krzyknawszy z całej siły z radości:

— Bartek! Bartek!

— Magda! To ja! — wołał Bartek, przykładając dłoń do ust i przyśpieszając kroku.

Otworzył wrota, zawadził o zaworek, mało nie upadł, aż się zatoczył, padli sobie w objęcia.

Kobieta poczęła mówić szybko:

— A ja myślałam, że już nie wrócisz... Myślałam: zabili go... Cóż ci? Pokaż się... Niech się napatrzę! Bardzo zmizerowany! Oj, Jezu! Oj, ty, kapcanie!... Oj, najmilejszy!... Wrócił! wrócił!...

Chwilami odrywała ręce od jego szyi i patrzyła na niego, i znów je zarzucała.

— Wrócił! Chwała bądź Bogu... Mój ty Bartczysko kochane!... Cóżes?... Chodź do chałupy... Franek w szkole! Niemczysko trochę dzieciom dopieka. Chłopak zdrów. Ino ślepie na wierzchu ma jak ty. Oj, czas ci wracać! Bo ani rady. Bieda, mówię, bieda!... Chałupsko się psuje. Do stodoły bez dach leci. Cóżes? Oj, Bartku! Bartku! Że też ja jeszcze ciało twoje oglądam! Co ja tu miałam kłopotu z sianem!... Czemierniccy mi pomagali, ale bogać!... I cóżes ty? zdrów? Oj, raduję ja ci się, raduję! Bóg cię strzegł. Chodź do chałupy. O dlaboga, coś niby Bartek, niby nie Bartek! A tobie co? Rety!

Magda w tej chwili dopiero spostrzegła długą szramę, ciągnącą się przez twarz Bartka, przez lewą skroń, policzek, aż do brody.

— At, nic... Kiryser mnie ta pomacał, ale i ja jego też. W szpitalu byłem.

— O Jezu!

— Ej, mucha.

— A chudyś jak ta śmierć.

— *Rubig* — odrzekł Bartek.

Był rzeczywiście wychudły, szerniały, obszarpany. Prawdziwy zwycięzca! Przy tym chwiał się na nogach.

— Cóżes ty, pijany?

— Ti... słabym jeszcze.

Był słaby, to pewno! Ale był i pijany, bo przy jego wycieńczeniu jedna miarka wódki wystarczała, a Bartek na stacji wypił ich coś cztery. Ale za to miał animusz i minę prawdziwego zwycięzcy. Takiej miny nigdy przedtem nie miewał.

— *Rubig!* — powtórzył. — Skończyliśmy *Krieg!* Teraz ja pan, rozumiesz? A to widzisz? — Tu ręką wskazał na krzyże i medale. — Wiesz, com za jeden? — Hę? *links! rechts! Heu! Stroh!* siano! słoma! słoma! siano! *halt!*

Ostatnie *halt!* wrzasnął tak przeraźliwie, że kobieta odskoczyła o kilka kroków.

— Cóżes ty oszalał?

— Jak się masz, Magda!... kiedy ci mówię: jak się masz, to jak się masz? A po francusku umiesz, głupia?... Musiu, musiu, kto musiu? ja musiu! wiesz?

— Człeku, co z tobą jest?

— Tobie co do tego! *Was? done dine?* rozumiesz?

Na czole Magdy zaczęła się zbierać burza.

— Po jakiemu ty bełkoczesz? Cóż to, nie umiesz po polsku? To ci kasztan! Sprawiedliwie mówię! Co z ciebie zrobili!

— Daj mi jeść!

— Ruszaj do chałupy.

Wszelka komenda robiła na Bartku wrażenie, któremu żadną miarą oprzeć się nie mógł. Usłyszawszy tedy: „ruszaj!”, wyprostował się, ręce wyciągnął wzdłuż bioder i zrobiwszy pół obrotu pomaszzerował we wskazanym kierunku. Na progu dopiero ochłonął i począł patrzeć na Magdę ze zdumieniem.

— No, co ty, Magda? co ty?...

— Ruszaj! Marsz!

Wszedł do chałupy, ale upadł na samym progu. Wódka teraz zaczęła mu naprawdę uderzać do głowy. Zaczął śpiewać i oglądać się po chałupie za Frankiem. Powiedział nawet: *Morgen, Kerl!* — choć Franka nie było. Następnie roześmiał się, dał jeden krok nader wielki, dwa bardzo małe, krzyknął: „hurra!”, i leżał jak długi na tapczanie. Wieczorem zbudził się trzeźwy, wypoczęty, przywitał się z Frankiem i wyprosiwszy u Magdy kilkanaście fenigów odbył triumfalny pochód do karczmy. Sława jego czynów poprzedziła go już w Pogonbinie, gdyż niektórzy żołnierze innych kompanii tegoż samego pułku, wróciwszy wcześniej, opowiadali jego przewagi pod Gravelotte i Sedanem. Obecnie, gdy się wieść rozeszła, że zwycięzca jest w karczmie, wszyscy dawni towarzysze pośpieszyli go zobaczyć.

Siedzi więc nasz Bartek za stołem, nikt by go teraz nie poznał. On, taki dawniej potulny, bije oto pięścią w stół, puszy się jak indyk i gulgoce jak indyk.

— A pamiętacie, chłopcy, jakem wtedy Francuzów sprął, co powiedział Steinmec?

— Co nie mamy pamiętać?

— Gadali za Francuzami, straszili, a to jest mdły naród, *was?* Ony sałatę jedzą jak zające, to i umykają jak zające. A piwa to ci nie piją, ino dycht wino.

— Juści.

— Jakaśma palili jaką wieś, to ony ręce składały i zaraz krzyczały: *pitie! pitie!*, to niby znaczy, że dadzą picie, żeby im co ino dać spokój. Aleśma nie zważali.

— To to można zrozumieć, jak ony szwargocą? — spytał młody parobczak.

— Ty nie rozumiesz, boś głupi, a ja rozumiem. *Done di pę,* rozumiesz?

— Co zaś gadacie?

— A Paryż widzieliśta? Tam ci były batalie jedna za drugą. Ale w każdej pobiliśma. Ony komendy dobrej nie mają. Tak też ludzie mówili. Płot, powiadają, u nich też dobry, ale kolki kiepskie. I oficerzy kiepskie, i generały kiepskie, a z naszej strony dobre.

Maciej Kierz, stary, mądry gospodarz z Pogonbina, począł kiwać głową.

— Oj, wygrały Niemcy straszną wojnę, wygrały, a myśma im pomogli; ale co nam z tego przyjdzie, Bóg jeden wie.

Bartek wytrzeszczył na niego oczy.

— Co gadacie?

— Toż Niemcy i tak nie chcieli nas szanować, a teraz to ci nosy poza- dzierały, jakby i Boga już nad nimi nie było. I będą jeszcze gorzej nas poniewierać albo już poniewierają.

— A nieprawda! — rzekł Bartek.

W Pogńebinie stary Kierz miał taką powagę, że cała wieś myślała wedle jego głowy, i zuchwalstwem było mu przeczyć, ale Bartek był teraz zwycięzcą i samą powagą.

Wszelako oni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a nawet z pewnym oburzeniem.

— Cóż ty z Maciejem będziesz się spierał?... Cóż ty?...

— Co mi tam Maciej! Ja nie z takimi gadałem, rozumita! Chłopcy, czy nie gadałem ze Steinmecem? *was?* A kiej Maciej zmyśla, to zmyśla. Tera nam będzie lepiej.

Maciej popatrzył chwilę na zwycięzcę.

— Oj, ty głupi! — rzekł.

Bartek uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie kieliszki i kufle.

— *Still der Kerl da! Heu, Stroh!*...

— Cicho, nie wrzeszcz! Spytaj się, głupi, jegomości albo i pana.

— Albo jegomość na wojnie był? Albo pan był? A ja byłem. Nie wierzta, chłopcy. Tera ci nas zaczną szanować. Kto bataliję wygrał? Myśma wygrali. Ja wygrałem. Teraz o co ci poproszę, to dadzą. Bym chciał dziedzicem we Francji ostać, to ostanę. Rząd dobrze wie, kto najlepiej prał Francuzów. A nasze pułki były najlepsze. Tak pisało w rozkazach. Tera Polaki górą — rozumita?

Kierz machnął ręką, wstał i poszedł. Bartek i na polu politycznym odniósł zwycięstwo. Młodzi, którzy z nim zostali, patrzyli teraz w niego jak w tęczę! On mówił:

— A ja czego bym nie chciał, to dadzą. Żeby nie ja, to no! Stary Kierz jest kiej: rozumita? Rząd każe bić, to bić! Kto mnie będzie poniewierał? Niemiec? A to co?

Tu znów pokazał na krzyże i medale.

— A za kogo prałem Francuzów? Nie za Niemców, co? Ja tera lepszy jak Niemiec, bo żaden Niemiec nie ma tyle tego. Piwa dajta! Ze Steinmecem gadałem i z Podbielskim gadałem. Piwa dajta!

Z wolna zbierało się na pijatykę. Bartek począł śpiewać:

„Trink, trink, trink! Wenn in meiner Tasche! Noch ein Thaler klingt!...”

Nagle wydobył z kieszeni garść fenigów.

— Bierzta! ja tera pan... Nie chceta? Oj, nie takich my pieniędzy we Francji nabrali, ino że poszło. Mało to my nie napalili, ludzi nabili!... Bóg wie nie kogo... francirerów...

Humor ludzi pijanych miewa nagle zmiany. Nadspodziewanie Bartek zgarnął pieniądze ze stołu i począł wołać żałośnie:

— Boże! Bądź miłościw grzesznej duszy mojej!

Następnie podparł się oboma łokciami na stole, głowę ukrył w łapy i milczał.

— Co ci jest? — spytał któryś z pijanych.

— Com im winien? — mruknął ponuro Bartek. — Sami leźli! Ino mi ich było żal, bo swojaki oba. Boże, bądź miłościw! Jeden był jak ta zorza rumiana. Nazajutrz to ci był błady jak chusta. A potem to ci ich jeszcze żywych przysypali... Wódki!

Nastała chwila posepnej ciszy. Chłopi spoglądali jeden na drugiego ze zdziwieniem.

— Co on prawi? — spytał któryś.

— Ze sumieniem cości gada.

— Bez tę wojnę człowiek pije — mruknął Bartek.

Napił się wódki raz i drugi. Chwilę posiedział w milczeniu, potem splunął i niespodzianie wrócił mu dobry humor.

— A wyśta gadali ze Steinmecem?... A ja gadałem! Hurra! Pijta. Kto płaci? Ja!

— Ty płacisz, pijaku, ty! — ozwał się głos Magdy. — Ale i ja ci zapłacę, nie bój się! Bartek popatrzył na przybyłą kobietę szklanymi oczyma.

— A ze Steinmecem gadałaś? Coś za jedna?

Magda zamiast mu odpowiedzieć zwróciła się do czułych słuchaczy i poczęła lamentować:

— Oj, ludzie, ludzie, widzita mój srom i moją niedolę! Wrócił, ucieszyłam się, jak komu dobremu, a on wrócił pijany. I Boga zapomniał, i po polsku zapomniał. Położył się spać, wytrzeźwiał, a teraz znowu pije i moją pracą, moim potem płaci. A skądęś wziął tych

pieniędzy? Nie mójże to starunek, nie moja krwawica? Co? Oj, ludzie, ludzie, nie katolik to już, nie człowiek, to je Niemiec opętany, co po niemiecku szwargoce i na krzywdę ludzką dybie. To jest odmieniec, to jest...

Tu kobieta załapała się łzami, następnie podniosła głos o oktawę wyżej:

— Głupi był, ale dobry; ale teraz co z niego zrobili? Czekałam ci go wieczór, czekałam i rano, i doczekałam się. Znikąd pociechy, znikąd zmiłowania! Boże mocny! Boże cierpliwy!... Żebyś ty skołowaciał, żebyś do reszty Niemcem ostał!

Ostatnie słowa skończyła tak żałośnie, że prawie śpiewając. A Bartek na to:

— Cichoj, bo cię lunę!

— Bij, utnij głowę, utnij zaraz, zabij, zamorduj! — woła natarczywie kobieta i wyciągawszy szyję zwróciła się do chłopów:

— A wy, ludzie, patrzajta!

Ale chłopci poczęli się wynosić. Wkrótce karczma opustoszała; został tylko Bartek i baba z wyciągniętą szyją.

— Cóż tę tchawicę wyciągasz jak gęś — mruczał Bartek. — Chodź do chałupy.

— Utnij! — powtarza Magda.

— Oto, że nie utnę — odparł Bartek i wsadził ręce w kieszenie.

Tu karczmarz, chcąc położyć koniec zajściu, zgasił jedyną świecę. Zrobiło się ciemno i cicho. Po chwili w ciemności rozległ się piskliwy głos Magdy:

— Utnij!

— Oto, że nie utnę — odparł triumfalny głos Bartka.

Przy świetle księżycy widać było dwie postacie idące od karczmy ku chałupom. Jedna z nich, idąca naprzód, lamentowała głośno: to była Magda; za nią ze spuszczoną głową postępował dość pokornie zwycięzca spod Gravelotte i Sedanu.

VII

Bartek wrócił jednak tak osłabiony, że przez kilka dni nie mógł pracować. Było to wielkie nieszczęście dla całego gospodarstwa, które na gwałt potrzebowało męskiej ręki. Magda radziła sobie, jak umiała. Pracowała od rana do nocy; sąsiedzi Czemierniccy pomagali jej, jak mogli, ale swoją drogą wszystko to nie wystarczało i gospodarstwo szło po trochu w ruinę. Było też już i nieco długów zaciągniętych u kolonisty Justa, Niemca, który w Pogonbinie zakupił był w swoim czasie u dworu kilkanaście morgów nieużytków, a teraz miał najlepsze w całej wsi gospodarstwo i gotówkę, którą wypożyczał na dość wysokie procenty. Wypożyczał przede wszystkim dziedzicowi p. Jarzyńskiemu, którego nazwisko jarzyło się w *Złotej księdze*, ale który dlatego właśnie musiał podtrzymywać splendor domu na odpowiedniej stopie; wypożyczał jednak Just i chłopom. Magda winna mu była od pół roku kilkadziesiąt talarów, które częścią włożyła w gospodarstwo, częścią posyłała w czasie wojny Bartkowi. Byłoby to jednak nic. Bóg dał dobre urodzaje i z przyszłych plonów można było dług spłacić, byle rąk i pracy przyłożyć. Na nieszczęście Bartek pracować nie mógł. Magda nie bardzo chciała temu wierzyć i chodziła do proboszcza na narady, jakby chłopą rozruszać, a on rzeczywiście nie mógł. Brakło mu oddechu, gdy się cokolwiek strudził, i krzyże go bolały. Siadywał więc po całych dniach przed chałupą i palił porcelanową fajkę z wyobrażeniem Bismarka w białym mundurze i kirasjerskim hełmie na głowie, i poglądał na świat zmęczonym, sennym okiem człowieka, z którego kości trud jeszcze nie wyszedł. Rozmyślał przy tym trochę o wojnie, trochę o zwycięstwach, o Magdzie, trochę o wszystkim, trochę o niczym.

Raz, gdy tak siedział, usłyszał z dała płacz Franka.

Franek wracał ze szkoły i beczał, aż się rozlegało.

Bartek wyjął z ust fajkę.

— No, ty, Franc! Co ci jest?

— Ale, co ci jest?... — powtórzył szlochając Franek.

— Czego beczysz?

— Ale, co nie mam beczeć, kiedy dostałem po pysku...

— Kto ci dał po pysku?

— Kto, jak nie pan Boege!

Pan Boege pełnił obowiązki nauczyciela w Pogonbinie.

— A on co ma za prawo bić cię po pysku?

— Juści ma, bo dał.

Magda, która okopywała w ogrodzie, przelazła przez płot i z motyką w ręku zbliżyła się do dziecka.

— Cóżś sprawił? — spytała.

— Com miał sprawić? Jeno Boege nawymyślał mi od polskich świń i dał mnie w pysk, i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały, to nas będą nogami kopać, bo ony najmocniejsze. A ja jemu nic nie zrobiłem, jenon się pytał, jaka jest największa osoba na świecie, a ja powiedziałem, że Ojciec święty, a on mi dał w pysk, a ja począłem krzyczeć, a on nawymyślał mi od polskich świń i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały...

Franek począł powtarzać w kółko: „a on powiedział, a ja powiedziałem”; wreszcie Magda zakryła mu twarz ręką, a sama, zwróciwszy się do Bartka, poczęła wołać:

— Słyszysz! Słyszysz!... Idź ty, wojuj Francuzów, a niech ci dziecko potem Niemiec tłucze jak tego psa! niech mu wymyśla!... Idź ty, wojuj... niech ci Szwab dziecko zabija: masz nagrodę... niech ci plucha...

Tu Magda rozczulona własną wymową zaczęła także płakać do wtóru z Frankiem, a Bartek wytrzeszczył oczy, otworzył gębę i zdumiał — zdumiał tak, iż słowa nie mógł przemówić, a przede wszystkim zrozumieć tego, co się stało. Jak to? A jego zwycięstwa?... Siedział jeszcze chwilę w milczeniu, nagle błysło mu coś w oczach, krew rzuciła się do twarzy. Zdumienie, równie jak przestrasz, częstokroć u prostaków przechodzi w wściekłość. Bartek zerwał się nagle i wyrzucił przez zaciśnięte zęby:

— Ja się z nim rozmówię.

I poszedł. Niedaleko było. Szkoła leżała tuż za kościołem. Pan Boege stał właśnie przed gankiem otoczony gromadą prosiąt, między które rozrzucał kawałki chleba.

Był to rosły człowiek, lat około pięćdziesięciu, krzepki jeszcze jak dąb. Nie był zbyt tłusty, twarz tylko miał bardzo tłustą, a w tej twarzy pływały duże rybie oczy z wyrazem śmiałości i energii.

Bartek przystąpił do niego bardzo blisko.

— Za co ty mi, Niemcze, dziecko bijesz? *was?* — spytał.

Pan Boege odstąpił od niego kilka kroków, zmierzył go oczyma bez cienia bojaźni i rzekł z flegmą:

— Won, polska „turnia”!

— Za co dziecko bijesz? — powtórzył Bartek.

— Ja i ciebie bić, polska „chama”! Teraz my wam pokażemy, kto tu pan. Idź do diabeł, idź na skargę do sądu... precz!

Bartek schwywszy nauczyciela za ramię począł potrząsać nim silnie, wołając chrapliwym głosem:

— Wiesz, com za jeden? wiesz, kto Francuzów sprął? wiesz, kto ze Steinmecem gadał? Za co dziecko bijesz, szwabska plucho?

Rybie oczy pana Boege wylazły na wierzch, nie gorzej Bartkowych, ale pan Boege był silny człowiek i postanowił jednym zamachem uwolnić się od napastnika.

Zamach ten ozwał się potężnym policzkiem na twarzy zwycięzcy spod Gravelotte i Sedanu. Wtedy chłop stracił pamięć. Głowa Boegego wstrząsnęła się dwoma nagłymi ruchami przypominającymi ruch wahadła, z tą różnicą, że wstrząśnienia były przerażająco szybkie. W Bartku znów zbudził się straszliwy pogromca turkosów i żuawów. Na próżno dwudziestoletni Oskar, syn Boegego, chłop równie silny jak ojciec, pośpieszył mu z pomocą. Zawzięła się walka krótka, straszna, w której syn padł na ziemię, a ojciec uczuł się wyniesionym w powietrze. Bartek, wyciągnawszy ręce do góry, niósł go, sam nie wiedząc dokąd. Na nieszczęście pod chałupą stała beczka z pomyjami, skrzętnie zlewany dla świń przez panią Boegową, i oto bulknęło w beczce, a po chwili widać z niej było sterczące nogi Boegego, poruszające się gwałtownie. Boegowa wypadła z domu:

— Pomocy! ratunku!

Przytomna kobieta wywróciła natychmiast beczkę i wylała męża wraz z pomyjami na ziemię.

Z pobliskich domów koloniści pośpieszyli na pomoc sąsiadom.

Kilkunastu Niemców rzuciło się na Bartka i poczęły okładać go to kijami, to pięściami. Powstało ogólne zamieszanie, w którym trudno było odróżnić Bartka od wrogów; kilkanaście ciał zbiło się w jedną masę, poruszającą się konwulsyjnie.

Nagle jednak z masy walczących wypadł, jak szalony, Bartek dążąc co sił do płotu.

Niemcy skoczyli za nim, jednocześnie jednak dał się słyszeć przeraźliwy trzask płotu i w tejże chwili potężna żerdź zakołysała się w żelaznych łapach Bartka.

Odwrócił się zapieniony, wściekły, wznosił ręce z żerdzią do góry: pierzchli wszyscy. Bartek sunął za nimi.

Szczęściem nie dogonił nikogo. Przez ten czas ochłonął i począł rejterować ku domowi. Ach! Gdyby miał przed sobą Francuzów! Odwrót ten unieśmiertelniłaby historia.

Było tak: napastujący w liczbie blisko dwudziestu ludzi, zebrawszy się, nacierali na nowo na Bartka. On cofał się z wolna, jak odyniec party przez psiarnię. Chwilami odwracał się i zatrzymywał, a wtedy zatrzymywali się i goniący. Żerdź przejmowała ich zupełnym szacunkiem.

Ciskali jednak kamieniami, jeden z tych kamieni zranił Bartka w czoło. Krew zalewała mu oczy. Czuł, że słabnie. Zachwiał się raz i drugi na nogach, opuścił żerdź i upadł.

— Hurra! — krzyknęli koloniści.

Ale nim dobiegli, Bartek podniósł się znowu. To ich wstrzymało. Ten ranny wilk mógł jeszcze być niebezpieczny. Zresztą było to już niedaleko pierwszych chałup i z dala widać już było kilku parobków, pędzących co siły na plac potyczki. Koloniści cofnęli się do domów.

— Co się stało? — pytali nadbiegający.

— Niemców krzykę pomacałem — odpowiedział Bartek. I zemdłał.

VIII

Sprawa stała się groźna. Gazety niemieckie umieściły nader wzruszające artykuły o przeszładowaniach, jakich doznaje spokojna ludność niemiecka od barbarzyńskiej i ciemnej masy, podniecanej przez antypaństwowe agitacje i fanatyzm religijny. Boege stał się bohaterem. On, nauczyciel cichy i łagodny, krzewiący oświatę na dalekich krańcach państwa; on, prawdziwy misjonarz kultury wśród barbarzyńców, pierwszy padł ofiarą rozruchu. Szczęściem, że za nim stoi sto milionów Niemców, którzy nie pozwolą, aby itd.

Bartek nie wiedział, jaka burza zbiera się nad jego głową. Owszem, był dobrej myśli. Był pewny, że w sądzie wygra. Przecie Boege mu dziecko pobił i jego pierwszy uderzył, a potem tyłu na niego napadło! Musiał się przecie bronić. Rozbili mu jeszcze głowę kamieniem. I komu? jemu, którego wymieniały rozkazy dzienne, jemu, który „wygrał” bitwę pod Gravelotte, który gadał z samym Steinmecem, który miał tyle krzyżów! Nie mieściło mu się to wprawdzie w głowie, jak Niemcy mogli o tym wszystkim nie wiedzieć i tak go pokrzywdzić, również jak nie mieściło się mu i to, jak Boege mógł obiecywać Pogłębińcom, że ich teraz Niemcy będą nogami kopać za to, że oni, Pogłębińcy, tak dzielnie bili Francuzów, ilekroć była sposobność. Ale co do siebie, był pewny, że sąd i rząd ujmą się za nim. Tam przecie będą wiedzieć, co on za jeden i co on na wojnie robił. Choćby nie kto inny, to Steinmec ujmie się za nim. Przecie Bartek przez tę wojnę i zbiedniał, i chałupę zadłużył, toć przecie nie odmówią mu sprawiedliwości.

Tymczasem do Pogłębina przyjechali po Bartka żandarmi. Spodziewali się widać strasznego oporu, bo przyjechało ich aż pięciu z nabitymi karabinami. Mylili się. Bartek o oporze nie myślał. Kazali mu na brykę siąść: siadł. Magda desperowała tylko i powtarzała uparcie:

— Oj, trzebaż ci było tych Francuzów tak wojować? Maszże teraz, biedaku, masz.

— Cicho, głupia! — odpowiadał Bartek i uśmiechał się po drodze dość wesoło do przechodzących.

— Ja im pokażę, kogo krzywdzili! — wołał z bryczki.

I ze swymi krzyżami na piersiach jechał jak triumfator do sądu.

Jakoż sąd okazał się na niego łaskawy. Zgodzono się na istnienie okoliczności łagodzących. Bartek osobiście skazany został tylko na trzy miesiące więzienia.

Prócz tego skazano go na zapłacenie stu pięćdziesięciu marek tytułem wynagrodzenia rodzinie Boege i innym „obrażonym na ciele kolonistom”.

„Zbrodniarz wszelako — pisała w sprawozdaniu sądowym „Posener Zeitung” — nie tylko po odczytaniu mu wyroku nie okazał najmniejszej skruchy, ale wybuchnął tak grubiańskimi słowy i tak bezczelnie począł wyrzucać państwu swoje rzekome usługi, iż

dziwić się tylko należy, że obecny prokurator nie uformował przeciw niemu nowej sprawy za obelgi względem sądu i względem niemieckiego plemienia...”

Tymczasem Bartek rozpamiętywał w kozie spokojnie swoje czyny pod Gravelotte, Sedanem i Paryżem.

Popelnilibyśmy jednak niesprawiedliwość twierdząc, że i postępek p. Boegeo nie wywołał żadnej publicznej nagany. Owszem, owszem. Pewnego dżdżystego poranku jakiś poseł polski bardzo wymownie dowodził, jak zmieniło się postępowanie z Polakami w Poznańskiem, jak za męstwo i ofiary poniesione przez poznańskie pułki w czasie wojny należałoby dbać więcej o prawa ludności w poznańskiej prowincji; jak na koniec p. Boege z Pogńębina nadużywał swej pozycji nauczyciela, bijąc polskie dzieci, nazywając je polskimi świniami i obiecując, że po takiej wojnie napływowa ludność będzie kopać nogami aborygenów.

I gdy tak poseł mówił, deszcz sobie padał, a ponieważ takiego dnia sennaść ludzi ogarnia, więc ziewali konserwatyści, ziewali national-liberalni i socjaliści, ziewało i centrum, bo było to jeszcze przed walką kulturową.

Wreszcie nad tą „polską skargą” Izba przeszła do porządku dziennego.

Bartek tymczasem siedział w kozie, a raczej leżał w szpitalu więziennym, bo od uderzenia kamieniem otworzyła mu się rana, jaką na wojnie otrzymał.

Gdy nie miał gorączki, myślał, myślał jak ów indyk, który zdechł od myślenia. Ale Bartek nie zdechł, tylko nic nie wymyślił.

Czasem jednakże w chwilach, które nauka zwie *lucida intervalla*, przychodziło mu do głowy, że może niepotrzebnie tak „prał” Francuzów.

Na Magdę za to nadeszły ciężkie godziny. Trzeba było zapłacić karę: nie było skąd wziąć. Ksiądz pogńebski chciał pomóc, ale pokazało się, że w kasie nie miał całych czterdziestu marek. Biedna to była parafia ten Pogńębin, a zresztą staruszek nigdy nie wiedział, jak mu się pieniądze rozchodzą. Pana Jarzyńskiego nie było w domu. Mówili, że pojechał w konkury do jakiejś bogatej panny do Królestwa.

Magda nie wiedziała, co ma począć.

O przedłużeniu terminu nie było co i myśleć. Cóż więc? Sprzedać konie, krowy? I tak był przednówek, czas najcięższy. Żniwo się zbliżało, gospodarka wymagała pieniędzy, a wyczerpały się już wszystkie. Kobieta ręce łamała z rozpacz. Podała kilka próśb o zmiłowanie do sądu, wymieniając zasługi Bartka. Nie otrzymała nawet odpowiedzi. Termin się zbliżał, a z nim sekwestr.

Modliła się i modliła, wspominając gorzko dawne czasy przed wojną, gdy byli zamożni i gdy Bartek zimą jeszcze w fabryce zarabiał. Poszła do kumów pożyczyć pieniędzy: nie mieli. Wojna wszystkim dała się we znaki. Do Justa nie śmiała iść, bo i tak była mu winna, a nie płaciła nawet procentów. Tymczasem Just niespodzianie sam przyszedł do niej.

Pewnego popołudnia siedziała na progu chaty i nie robiła nic, bo ją siły z rozpacz odeszły. Patrzyła przed siebie na goniące się po powietrzu muszki złote i myślała: „Jakie to ono robactwo szczęśliwe, buja sobie i nie płaci itd.” Czasem wzdychała ciężko lub z jej pobladłych ust wyrывało się ciche wezwanie: „O Boże! Boże!” Nagle przed wrotami pokazał się spuszczone nos Justa, pod którym widać było spuszczonej fajkę: kobieta pobałdała. Just ozwał się:

— *Morgen!*

— Jak się macie, panie Just!

— A moje pieniądze?

— O mój złocienki panie Just, bądźcie cierpliwi. Ja biedna, co ja zrobię? Chłopa mi wzięli, karę za niego płacić muszę, rady sobie dać nie mogę. Lepiej bym zmarła, niż się mam tak męczyć z dnia na dzień. Poczekajcie, mój złocienki panie Just!

Rozplakała się i schyliwszy się ucałowała pokornie tłustą, czerwoną rękę pana Justa.

— Pan przyjedzie, to od niego pożyczę, a wam oddam.

— No, a sztraf z czego zapłacicie?

— Czy ja wiem? Chyba krowinę sprzedam.

— To ja wam pożyczę jeszcze.

— Niech panu Pan Bóg zapłaci, mój złoty panie. Pan, choć luter, ale dobry człowiek. Sprawiedliwie mówię! Żeby inne Niemcy były jak pan, to by ich człowiek błogosławił.

— Ale ja bez procentu nie dam.

- Ja wiem, ja wiem.
- To mi napiszecie jeden kwit na wszystko.
- Dobrze, złoty panie. Bóg panu zapłaci i tak.
- Będę w mieście, to sporządzimy akt.

Był w mieście i sporządził akt, ale poprzednio Magda poszła radzić się proboszcza. Co tu jednak było radzić? Ksiądz mówił, że termin za krótki, że procenta za wysokie, i biadał bardzo, że p. Jarzyńskiego w domu nie ma, bo gdyby był, to by może pomógł. Nie mogła jednak Magda czekać, aż jej sprzedadzą sprzężaj, i musiała przyjąć warunki Justowe. Zaciągnęła trzysta marek długu, to jest dwa razy tyle, ile wynosił „sztraf”, boć przecie trzeba było mieć w domu jaki grosz na prowadzenie gospodarstwa. Bartek, który dla ważności aktu obowiązany był stwierdzić go własnym podpisem, podpisał. Magda w tym celu umyślnie chodziła do niego do „karczeresu”. Zwycięzca był bardzo pogwałcony, przybity i chory. Chciał on jeszcze pisać skargę i przedstawić swoje krzywdy, ale skargi nie przyjęto. Artykuły „Posener Zeitung” nader nieprzychylnie usposobiły dla niego opinię sfer rządowych. Czyż bowiem władze owe nie powinny były rozciągnąć opieki nad spokojną ludnością niemiecką, „która w ostatniej wojnie tyle złożyła dowodów miłości dla ojczyzny i poświęcenia”? Słusznie więc odrzucano skargę Bartka. Ale nie dziw, że to go pogwałciło ostatecznie.

— Już my teraz przepadniemy z kretelem — rzekł do żony.

— Z kretelem — powtórzyła.

Bartek począł namyślać się nad czymś usilnie.

— Krzywda mi się dzieje okrutna — rzekł.

— Chłopca Boege prześladowuje — mówiła Magda. — Chodziłam go prosić, jeszcze mi nawymyślał. Oj, teraz w Pogłębinie Niemcy górą. Ony się teraz nikogo nie boją.

— Pewno, że ony najmocniejsze — rzekł smutno Bartek.

— Jać prosta jestem kobieta, ale to ci powiem: mocniejszy jest Bóg.

— W nim ucieczka nasza — dodał Bartek.

Chwilę milczeli oboje, potem znowu spytał:

— No, a co Just?

— Żeby Bóg najwyższy dał urodzaj, to może go jakoś zapłaciwa. Może też i pan nam dopomoże, chociaż on sam ma długi u Niemców. Jeszcze przed wojną mówili, że musi Pogłębin sprzedać. Chyba że bogatą pannę weźmie.

— A prędko on wróci?

— Kto go wie? We dworze prawią, że niedługo już z żoną przyjedzie. Niemcy go przycisną, jak wróci. Zawdy to Niemcy! Dyć to lezie jak robactwo! Gdzie się obejrzyz, gdzie się nie dopatrzysz, czy na wsi, czy w mieście — Niemcy, za grzechy chyba nasze! A ratunku znikąd!

— Może też co uradzisz, tyś przecie mądra kobieta.

— Co ja zdradzę, co? Czy to ja po dobrej woli brała od Justa pieniądze? Na dobrą sprawę, toć ta chałupina, w której siedzimy, i też grunt, to już jego. Just jest lepszy Niemiec od innych, ale on też swoje dobro, nie cudze, ma na oku. Nie pofolguje on, jak i inny nie pofolgował. Czy ja taka głupia, czy ja nie wiem, po co on mi wtyka pieniądze! Ale co zrobić! co zrobić! — mówiła łamiąc ręce. — Radź ty, kiedyś mądry. Francuzów umiałeś bić, a co poczniesz, jak ci dachu nad głową nie stanie albo łyżki strawy do gęby?

Zwycięzca spod Gravelotte uchwycił się za głowę.

— O Jezu, Jezu!

Magda miała dobre serce: wzruszył ją ten ból Bartkowy, więc rzekła zaraz:

— Cichaj, chłopie! Cichaj! Nie łap się za łeb, skoro ci się jeszcze nie zgoił. Byle Bóg urodzaj dał! Zytko ci takie śliczniutki, że aż się ziemię chce całować, pszenica też. Ziemia nie Niemiec, nie ukrzywdzi. Choć to i bez twoją wojnę kiepsko koło roli zrobione, to ci tak rośnie, że a!

Pocziwa Magda uśmiechnęła się przez łzy.

— Ziemia nie Niemiec... — powtórzyła raz jeszcze.

— Magda! — rzekł Bartek patrząc na nią swymi wylupiastymi oczyma. — Magda!

— Czego?

— A bo tyś jest... niby...

Bartek czuł dla niej wdzięczność wielką, ale nie umiał tego wyrazić.

IX

Magda naprawdę była tyle warta, ile dziesięć gorszych od niej kobiet! Trzymała trochę krótko swego Bartka, ale przywiązana była do niego prawdziwie. W chwilach uniesienia, jako na przykład wczas w karczmie, mówiła mu w oczy, że głupi, ale zwyczajnie wolała wszelako, by ludzie inaczej myśleli: „Mój Bartek głupiego udaje, a on je chytry” — mawiała nieraz. Tymczasem Bartek był tak chytry jak jego koń i bez Magdy nie dałby sobie rady ani w gospodarstwie, ani w niczym. Teraz oto wszystko było na jej poczciwej głowie i jak zaczęła dreptać, zabiegać, chodzić, prosić, tak i wyprosiła ratunek. W tydzień po ostatnich odwiedzinach w więziennym szpitalu wpadła znowu do Bartka zadyszana, rozpromieniona, szczęśliwa.

— Jak się masz, Bartek, kasztanie! — zawołała z radością. — Wiesz, przyjechał pan! Ożenił ci się w Królestwie; młoda pani dycht jagódka. A nabrał ci też za nią wszelakiego dobra, oj! oj!...

Dziedzic Pognębina ożenił się rzeczywiście, zjechał z żoną na miejsce i rzeczywiście nabrał za nią sporo „wszelakiego dobra”.

— No i co z tego? — spytał Bartek.

— Cicho, głupi! — odrzekła Magda. — O, tom się zadyszała! O Jezu!... Poszłam się pani pokłonić, patrz: wyszła do mnie jak królowna jaka, młodzusięńka, kiej łośński kwiateczek, śliczniuchna jak ta zorza... A to upał! A tom się zadyszała!...

Magda podniosła fartuch i poczęła obcierać twarz spoconą. Po chwili mówiła znów przerywanym głosem:

— Suknię ci miała jak ten chaber niebiesiuchną... Podjęłam ją za nogi i rączkę mi dała... pocałowałam, a rączki to ci ma pachnące i małuśkie jak u dziecka!... Dycht jaka święta na obrazku i dobra jest, i wyrozumiała na biedę ludzką. Poczęłam ją prosić o poratowanie... Żeby jej Bóg dał zdrowie!... A ona powiada: „Co w mojej mocy — powiada — to zrobię.” A głosik to ci ma taki, że jak przemówi, to cię aż słodkość ogarnie. To dopiero ja poczęłam prawić, jaki to w Pognębinnie naród nieszczęśliwy, a ona powiada: „Ej, nie tylko w Pognębinnie...”, i dopiero ja się rozbeczałam, i ona też. Aż pan nadszedł, zobaczył, że ona płacze, i jak ją weźmie całować: gęba nie gęba, oczko nie oczko. Panowie nie takie jak wy! Dopiero ona mu powiada: „Zrób, co możesz, dla tej kobiety”. A on powiada: „Wszystko na świecie, czego zechcesz...” Niechże ją Matka Boska błogosławi, oną jagódkę złotą! niech ją na dzieciach błogosławi i na zdrowiu. I zaraz pan powiada: „Zawiniliście ciężko, boście się w niemieckie ręce podali, ale — powiada — poratuję was i na Justa dam”.

Bartek począł drapać się w kark.

— Dyc pana też Niemcy mieli w ręku.

— No to co! Ale pani bogata. Państwo by teraz wszystkich Niemców w Pognębinnie mogli kupić, to i panu wolno gadać. „Wybory — powiada pan — niedługo będą: niech ludzie patrzą, by za Niemcami nie głosowali, a ja na Justa dam i Boegego przykróć”. A pani go za to za szyję wziena, a pan się pyta o ciebie i powiada: „Jeśli słaby, to ja z doktorem pogadam, żeby mu napisał świadectwo, jako teraz nie może siedzieć. Jeśli go nie zwolnią całkiem, to — powiada — odsiedzi w zimie, a teraz do roboty na żniwa potrzebny”. Słyszysz? Wczoraj pan w mieście był, a dziś doktor jedzie do Pognębina z wizytą, bo go pan zaprosił. On nie Niemiec. I świadectwo napisze. W zimie będziesz sobie siedział w karceresie, jako ten król, będzie ci ciepło i żreć darmo ci dadzą, a teraz pójdiesz do dom, do roboty, i Justa zapłaciwa, a pan może i nijakiego procentu nie będzie chciał, a jak nie oddamy wszystkiego w jesieni, to u pani wyproszę. Niechże ją Matka Boska!... Słyszysz?...

— Dobra pani. Nie ma co! — rzekł rażno Bartek.

— Padniesz ty jej do nóg, padniesz, a nie, to ci chyba ten żółty łeb ukręcę! Byle Bóg urodzaj da! A widzisz, skąd poratowanie? Od Niemców? Dały ci choć grosz za te twoje głupie mentale? co? Dały ci po łbie i tyła. Padniesz ty pani do nóg, mówię.

— Co nie mam paść! — odparł rezolutnie Bartek.

Los zdawał się znowu uśmiechać zwycięzcy. W kilka dni później zawiadomiono go, że z powodów zdrowia na teraz zostaje zwolniony z kozy aż do zimy. Przedtem jednak landrat kazał mu się stawić przed sobą. Bartek stawił się z duszą na ramieniu. Ten chłop,

który z bagnetem w ręku brał sztandary i armaty, począł się teraz bać każdego mundur więcej niż śmierci, począł nosić w sercu jakieś głuche, bezwiedne poczucie, że go prześladowają, że mogą zrobić z nim, co zechcą, że jest nad nim jakaś siła ogromna i niezycliwa, i zła, która, gdyby się jej opierał, to go zetrze. Stał więc oto przed landratem, jak ongi przed Steinmetzem, wyprostowany, z brzuchem wciągniętym, piersią wydaną naprzód i bez tchu w piersiach. Było także i kilku oficerów: wojna i karność wojenna stanęły Bartkowi w oczach jakby żywe. Oficerowie patrzyli na niego przez złote binokle z dumą i pogardą, należną prostemu żołnierzowi i polskiemu chłopu od pruskich oficerów; on stał dech wstrzymując, a landrat mówi coś rozkazującym tonem. Nie prosił, nie namawiał, rozkazywał, groził. W Berlinie poseł umarł, nowe wybory rozpisano.

— *Du polnisches Vieh!* spróbuj tylko głosować za panem Jarzyńskim, spróbuj!

Brwi oficerów ściągnęły się w tej chwili w groźne łwie zmarszczki. Jeden, ogryzając cygare, powtórzył za landratem: „Spróbuj!”, a w zwycięskim Bartku dech zamierał. Gdy usłyszał pożądane: „Poszedł precz!” zrobił pół obrotu w lewo, wyszedł i odetchnął. Dano mu rozkaz, by głosował za panem Szulbergiem z Krzywdy Wielkiej. Nad rozkazem nie namyślał się, ale odetchnął, bo szedł oto do Pognębina, bo na żniwa mógł być w domu, bo pan obiecał spłacić Justa. Wyszedł za miasto. Kłos ciężki z wiatrem o kłos uderzał i szeleściły wszystkie miłym dla chłopskiego ucha szelestem. Bartek słaby był jeszcze, ale słońce go grzało. Hej! Jak to na świecie pięknie! — myślał sterany żołnierz. I do Pognębina już niedaleko.

X

Wybory! Wybory! Pani Maria Jarzyńska ma ich pełną główkę, nie myśli, nie mówi i nie marzy o niczym więcej.

— Pani dobrodzika to wielki polityk — mówi do niej sąsiad szlachcic, całując jak smok jej małe rączki, a wielki polityk rumieni się jak wiśnia i odpowiada ze ślicznym uśmiechem:

— O, my agitujemy, jak tylko możemy!

— Pan Józef będzie posłem! — mówi przekonywająco szlachcic, a „wielki polityk” odpowiada:

— Chciałabym bardzo, chociaż nie tylko o Józia chodzi, ale (tu „wielki polityk” piecze znowu niepolitycznego raka), ale to sprawa ogólna...

— Czysty Bismark, jak Boga kocham! — woła szlachcic i znowu całuje małe rączki, potem radzą oboje nad agitacją.

Szlachcic bierze na siebie Krzywdę Dolną i Mizerów (Krzywda Wielka stracona, bo dziedzicem jej pan Szulberg), a pani Maria ma zająć się przede wszystkim Pognębinem. Aż jej się główka pali, że odgrywa taką rolę. Jakoż czasu nie traci. Co dzień widać ją na wielkiej drodze między chałupami: sukienka podniesiona w jednej ręce, parasolka w drugiej, a spod sukienki wyglądają małe nóżki, drepzące z zapalem w wielkich celach politycznych. Wstępuje do chałup, pracującym ludziom mówi po drodze: „Boże, dopomóż!” Odwiedza chorych, ujmuje sobie ludność, pomaga, gdzie może. Robiłaby to i bez polityki, bo ma dobre serce, ale dla polityki tym bardziej. Czego by ona nie zrobiła dla tej polityki?! Oto nie śmie tylko przyznać się mężowi, że ma niepowstrzymaną ochotę pojechać na wiec włościański; ułożyła sobie nawet w główce mowę, jaką wypadłoby na wiecu powiedzieć. Co to za mowa! Co za mowa! Wprawdzie pewno by nie śmiała jej wypowiedzieć, ale gdyby wypowiedziała, to no! Za to, gdy do Pognębina doszła wiadomość, że władze wiec rozpędziły, „wielki polityk” rozbeczał się ze złości w swoim pokoju, podarł jedną chusteczkę i cały dzień miał czerwone oczy. Na próżno mąż prosił jej, by nie „demenowała” się do tego stopnia. Nazajutrz agitacja w Pognębiniu prowadzona była z większym jeszcze ferworem. Pani Maria nie cofa się teraz przed niczym. Jednego dnia jest w kilkunastu chatach i wymyśla tak głośno na Niemców, że aż mąż musi ją powstrzymać. Ale nie ma niebezpieczeństwa. Ludzie przyjmują ją z radością, całują po rękach i uśmiechają się do niej, bo taka jest ładna, taka różowa, że gdzie wejdzie, jasno się robi. Z kolei przychodzi i do chałupy Bartka. Łysek jej nie puszcza, ale Magda daje mu w zapale drewnem w łeb.

— O jaśnie pani! moje złoto, moje śliczności, moja jagódka! — woła Magda, tuląc się do jej rąk.

Bartek zgodnie z postanowieniem rzuca się jej do nóg, mały Franek całuje ją naprzód w rękę, następnie kładzie palec w usta i pograża się w całkowitym podziwieniu.

— Spodziewam się — mówi po powitaniach młoda pani — spodziewam się, mój Bartku, że będziecie głosować za moim mężem, nie za panem Szulbergiem.

— O moja zorzo! — woła Magda — kto by ta za Siulbergiem głosował! Niech go tam paralius! (Tu całuje panią w rękę.) Niech się jaśnie pani nie gniewa, ale człek, gdy o Niemcach mówi, to i języka nie może utrzymać.

— Mąż właśnie mówił mi, że zapłaci Justa.

— Niech go Bóg błogosławi! — Tu Magda zwraca się do Bartka. — Czego stoisz jak drąg? On, proszę pani, strasznie niemowny.

— Będziecie za moim mężem głosować? — pyta pani — Prawda? Wyście Polacy, my Polacy! będziemy się trzymać.

— Łeb bym mu ukrećła, żeby nie głosował! — rzecze Magda. — Czegóż stoisz jak drąg? On strasznie niemowny. Ruszże się!

Bartek całuje znowu panią w rękę, ale milczy ciągle i jest ponury jak noc. W myśli stoi mu landrat.

Dzień wyborów zbliża się i nadchodzi. Pan Jarzyński pewny jest wygranej. Do Pogńębina zjeżdża się sąsiedztwo. Panowie wracają już z miasta, dali już głosy i czekać będą teraz w Pogńębinie na wiadomość, którą przywiezie ksiądz. Potem będzie obiad, wieczorem zaś państwo wyjadą do Poznania, a następnie i do Berlina. Niektóre wsie z okręgu wyborczego głosowały jeszcze wczoraj. Rezultat dziś będzie wiadomy. Zgromadzeni wszelako dobrej są myśli. Młoda pani trochę niespokojna, ale pełna nadziei i uśmiechnięta, jest tak uprzejmą gospodynią, że wszyscy zgadzają się, iż pan Józef znalazł prawdziwy skarb w Królestwie. Skarb ten nie może wprawdzie teraz usiedzieć spokojnie na miejscu, biega od gościa do gościa i każe się każdemu po sto razy zapewniać, że „Józio będzie wybrany”. Nie jest ona rzeczywiście ambitna i nie z próżności chce zostać panią posłową, ale wymarzyła sobie w swojej młodej główce, że oboje z mężem mają do spełnienia prawdziwą misję. Serce więc jej bije tak żywo, jak w chwili ślubu, i radość oświeca ładną twarzyczkę. Lawirując zręcznie wśród gości zbliża się do męża, pociąga go za rękaw i szepce mu do ucha jak dziecko, które kogoś przezywa: „pan poseł!” On uśmiecha się i oboje są nad wszelki wyraz szczęśliwi. Oboje mają wielką ochotę wycałować się porządnie, ale przy gościach nie wypada. Wszyscy zresztą wyglądają co chwila za okno, bo sprawa jest istotnie ważna. Dawny zmarły poseł był Polakiem i pierwszy to raz dopiero Niemcy stawiają w tym okręgu swego kandydata. Widocznie zwycięska wojna dodała im odwagi, ale właśnie dlatego zgromadzonym w pogńiębińskim dworze tym bardziej chodzi o to, by ich kandydat był wybrany. Nie brak też jeszcze przed obiadem patriotycznych przemówień, które szczególnie wzruszają młodą panią, jako do nich nieprzywykłą. Chwilami ma ona napady obawy. A jeśli zrobią jakie malwersacje przy obliczaniu głosów? Ale przecie w komitecie zasiadają nie tylko Niemcy! Starsi obywatele tłumaczą właśnie pani, jak się obliczanie głosów odbywa. Słyszała to ona już sto razy, ale jeszcze chce słyszeć. Ach! Bo przecie chodzi tu o to, czy ta miejscowa ludność będzie miała w parlamencie obrońcę czy wroga? Za chwilę się to rozstrzygnie, nawet za małą chwilę, bo na drodze powstaje nagle kłęb kurzu. „Proboszcz jedzie! Proboszcz jedzie!” — powtarzają obecni. Pani błędnie. Na wszystkich twarzach znać wzruszenie. Są pewni zwycięstwa, a jednak ostatnia chwila przyspiesza bicie serc. Ale to nie proboszcz, to wódarz wraca konno z miasta. Może co wie? Przywiązuje konia do kołka i śpieszy do dworu.

Goście z gospodynią na czele wypadają na ganek.

— Są wiadomości? Są? Nasz pan wybrany? Co? Chodź tu! Wiesz na pewno? Rezultat ogłoszony?

Pytania krzyżują się i padają jak race, a chłop rzuca czapkę do góry.

— Nasz pan wybrany!

Pani siada nagle na ławce i przyciska ręką falujące piersi.

— Wiwat! Wiwat! — krzyczą sąsiedzi. — Wiwat!

Służba wypada z kuchni. — „Wiwat! Pobite Niemcy! Niech żyje poseł! I pani posłowa!”

— A proboszcz? — pyta ktoś.

— Zaraz tu będzie — odpowiada wódarz — jeszcze reszty obliczają...

— Obiad dawać! — woła pan poseł.

— Wiwat! — powtarzają inni.

Wchodzą znów wszyscy z ganku do sali. Powinszowania panu i pani płyną już spokojniej, sama pani tylko nie umie pohamować radości i bez względu na świadków rzuca mężowi ręce na szyję. Ale nie biorą jej tego za złe; owszem, rozczulenie ogarnia wszystkich.

— No, jeszcze żyjemy! — mówi sąsiad z Mizerowa.

Tymczasem przed gankiem rozlega się turkot i do sali wchodzi ksiądz proboszcz, a za nim stary Maciej z Pogńębina.

— Witamy! Witamy! — wołają zgromadzeni. — No, jaka większość?

Ksiądz milczy przez chwilę i nagle rzuca jakby w twarz tej powszechnej radości szorstkie i krótkie dwa wyrazy:

— Szulberg... wybrany!...

Chwila zdumienia, grad pytań przyspieszonych i trwożnych, na które ksiądz odpowiada znowu:

— Szulberg wybrany!

— Jak? Co się stało? Jakim sposobem? Włodarz mówił, że nie! Co się stało?

W tej chwili pan Jarzyński wyprowadza biedną panią Marię, która gryzie chusteczkę, by nie wybuchnąć płaczem lub nie zemdleć.

— O nieszczęście! Nieszczęście! — powtarzają.

W tej chwili od strony wsi dochodzą jakieś zmacone głosy jakby radosnych krzyków. To Niemcy pogńebscy obchodzą tak radośnie swoje zwycięstwo.

Państwo Jarzyńscy wracają znów do sali. Słysząc, jak przy drzwiach młody pan mówi do pani: *Il faut faire bonne mine*. Jakoż młoda pani już nie płacze. Oczy ma suche i bardzo silne rumieńce.

— Powiedzciez teraz, jak się to stało? — pyta spokojnie gospodarz.

— Jakże się nie miało stać, jasnie panie — mówi stary Maciej — skoro i tutejsze chłopcy pogńebskie głosowali za Szulbergiem.

— Kto taki?

— Jak to? Tutejsi?

— A jakże. Ja sam widziałem i wszyscy, jak Bartek Słowik głosował za Szulbergiem...

— Bartek Słowik? — mówi pani.

— A jakże. Teraz ci go inni wymyślają. Chłop tarza się po ziemi, płacze, baba go wymyśla. Aleć ja sam widziałem, jak głosował.

— Ze wsi takiego wyświecić! — rzecze sąsiad z Mizerowa.

— Bo jasnie panie — mówi Maciej — inni też, co byli na wojnie, to też głosowali jak i on. Gadają, że im kazali...

— Nadużycie, czyste nadużycie, nieważny wybór, przymus, szachrajstwo! — wołały różne głosy.

Niewesoły był obiad tego dnia w pogńebskim dworze.

Wieczorem państwo wyjechali, ale już nie do Berlina, tylko do Drezna.

Nędzny, przeklinany, sponiewierany i zniechęcony Bartek siedział tymczasem w swojej chałupie, obcy nawet dla żony własnej, bo i ta nie przemówiła do niego cały dzień ni słowa.

Jesienią Bóg urodzaj dał i pan Just, który właśnie objął był w posiadanie Bartkową kolonię, rad był, że wcale niezły zrobił interes.

Pewnego dnia szło z Pogńębina do miasta troje ludzi: chłop, baba i dziecko. Chłop był pochylony bardzo, podobniejszy do dziada niż do zdrowego człeka. Szli do miasta, bo w Pogńębinie nie mogli służby znaleźć. Deszcz padał, baba szlochała okrutnie z żalu za straconą chałupą i całą wsią. Chłop milczał. Na całej drodze pusto było: ani wozu, ani człeka; krzyż tylko wyciągał ponad nią zmoczone od deszczu ramiona. Deszcz padał coraz większy, gęstszy i ciemniało na świecie.

Bartek, Magda i Franek szli do miasta, bo zwycięzca spod Gravelotte i Sedanu miał jeszcze w zimie odsiedzieć w kozie za sprawą Boegego.

Państwo Jarzyńscy bawili ciągle w Dreźnie.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bartek-zwyciezca>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Pisma wybrane. Nowele*, tom 1, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: Laura LaRose@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0876-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.